PIOTR CHOYNOWSKI

O PIĘCIU PANACH SULERZYCKICH

NOWELE

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
PARYŻ — POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

O PIĘCIU PANACH SULERZYCKICH

PIOTR CHOYNOWSKI

O PIĘCIU PANACH SULERZYCKICH

NOWELE

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
PARYŻ — POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

Druk J. Rajskiego w Warszawie, ul. Ciasna 5 (przy Św.-Jerskiej)
1928

O PIĘCIU PANACH SULERZYCKICH

Mecenasowi
Ludwikowi Domańskiemu

W Imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Piszę to ja, niegodny brat Jacek, bernardyn reguły św. Franciszka, a *olim* we świecie — *urodzony* Leon Sulerzycki. Piszę zasię nie *pro* rzeczy doczesnych *memoriam, sed demonstrandi causa,* jako to wzgarda praw Boskich *et Reipublicae,* jakoteż duma i ona gwałtowność piekielna męże kwitnące w grób zawczasu spycha i całe rody do zguby rychłej przywodzi.

Było nas braci Sulerzyckich pięciu. Chłop w chłopa — bez chwalby próżnej rzekłszy — jak dęby: wzrostu dużego, rozłożyści, a i urody niepośledniej. Na to w Rawszczyźnie wsie familijne trzy, a i pod Lublinem dobra niezgorsze po ś. p. matce-nieboszczce, urodzonej Górskiej. Drugi z rzędu brat Michał gospodarzył na ojcow-

skiej schedzie, a drugi znów po nim, Józef — na matczynych folwarkach. Ten mnie u siebie pod bokiem w Lublinie u OO. Jezuitów w kolegjum trzymał.

Najstarszemu bratu było Jędrzej. Smaku w gospodarstwie nie czując, sługiwał długi czas Miłościwemu Panu za rotmistrza w pułku Bartoszewicza, sławnego ongiś rycerza. Aż tu pruski Fryderykus na Marję Teresę, cesarzową rzymską, zdradziecko napadł, elektorstwo Miłościwemu Panu zajął i pułk Bartoszewicza wziął, jako i insze. Brata Jędrzeja, rotmistrza, na parol kawalerski do Polski abszytował, obdarłszy go przecież, jak lipkę.

Wrócił brat Jędrzej do domu zły, jak pies. Już też — *Regis gratia* — zrobiono go rotmistrzem straży przedniej, a i znaku pancernego towarzyszem, ale jemu mało i mało! Przywiózł nawet ze sobą z Drezna luterkę jedną bardzo gładkiej urody, aleć i ta cieszyła go niewiele. Umyślił dygnitarzem ostać. Dokazywał wtedy w Rawskiem dużo. Pełno go było po sejmikach

i zjazdach, a zawsze zbrojno i hucznie. Uboższą brać szlachtę karmił i poił po pańsku, a że do korda był skorszy, niż do dobrego słowa, *statim* tedy całą Rawszczyznę za pas zatknął. Komu nie w smak — tego w pysk: niejedną tam skórę na jaszczur wygarbował. Uchodziło mu, że to dumnie się nosił i był poważnego znaku towarzyszem.

W tym czasie Niemkę sobie zbrzydził i bratu Michałowi ją oddał, a sam ożenił się z Młodzianowską-wdową, urodzoną starościanką wiską. Wszczął się stąd wielki rozruch, bo jejmość była bogata, a szwagier Młodzianowski, jako bratanka opiekun, z majątków ustąpić nie chciał. Tylko że brat Jędrzej nie myślał długo. Dobra najechał zaraz, samego Młodzianowskiego wybatożył, a ludzi mu porąbał szpetnie. Stąd akta i reakta po grodach i na brata Jędrzeja kondemnatek dwie. Ani sobie w wąs o to nie dmuchał. Na najbliższym sejmiku deputackim obrać się kazał i okrzyknięto go zaraz. Któżby mu się sprzeciwić śmiał?

Ani w Rawszczyźnie wielkich panów, ani z bratem Jędrzejem żartów nie było. Kazał się obrać, to i obrali. A. D. 1752.

Retorykę wtedy w infimie gryzłem, choć mi się już dobrze puch na gębie sypał, jak to zdrowemu pachołkowi w ośmnastu rokach. Częściej też bywałem wówczas *incarceratus,* niźli *laudatus*, a zdarzało się, że i wały na kobiercu brałem niezgorsze. Skoro przecie żydki do Lublina wieść o obiorze brata przyniosły, zaraz posadzili mnie Ojcowie na ławce suknem czerwonem obitej, między paniczów (za tą dopiero ławką stały insze, bejcowane, dla zwykłych posesjonatów, przy samej zaś ścianie — proste ławy sosnowe dla bursaków i hołoty). Krzywili się panicze nieco, ale, jakem im pięść pokazał, przymilkli zaraz.

A w tydzień może potem, przed samą trybunału reasumpcją, wezwano mnie do refektarza. Ażem poczerwieniał na gębie z pychy, brata Jędrzeja się spodziewając. Jakoż i stał tam z O. Rektorem — wysoki,

barczysty, marsowego lica, w stroju oficjerskim cudnym. Anim mu w oczy spojrzeć śmiał, jeno w ramię ucałowawszy, sterczałem, jak ten kołek w płocie, bez jednego słowa. A tu już O. Rektor *gravamina* na mnie przekładał, pobożność jeno moją wynosząc nieco, żem to kiedyś na procesji szlachciurę jednego, kalwina, poturbował zlekka. Brat Jędrzej słuchał tego i wąsa kręcił, milcząc. Piękny mi się widział okrutnie: wieku lat może 35-ciu i strasznie kawalerskiego aspektu. Rzekł wreszcie:

— Pokłoń się, Leon, O. Rektorowi w nogi i szatki świąteczne wdziej zaraz. Ze mną parę dni zamieszkasz, żebyś też wspaniałość J. O. Trybunału mógł oglądać.

Zaraz za bramą, gdyśmy wyszli, rzekł do mnie jeszcze:

— A waść mi o te klesze *monita* nie stój, bo z tego chleba jeść nie będziesz! Jakże z tym szlachetką było?

— Ano czapki przed procesją nie zdjął, więcem go w pysk raz i naodlew.

— I cóż ten szlachcic?

— A nic. Zaraz się nogami nakrył.

Roześmiał się brat Jędrzej gromko i przyjrzał mi się łaskawie.

— Szatki to masz waść nikczemne. Cóż ten brat Józef? Skąpy chyba?

Takeśmy doszli do samej kamienicy Nussadynich. Zajął tam brat na dole cztery izby, że to socjuszów-Rawszczan, a i służby przywiózł ze sobą sporo. Zaraz wybiegł do sieni rodzicowy jeszcze sługa Chlebowski-stary (szlachcic ubogi, a przy naszym domu od młodości się wieszający) i obłapił mnie z uciechy obu rękami, jak syna. Rzekł mu brat Jędrzej:

— A oporządź, Chlebosiu, brata, żebym się zań wstydu w kompanji nie najadł. Bardziej on w tym kubraczku na kościelnego służkę, jak na Sulerzyckiego patrzy!

Zaraz tedy otworzył Chlebosio skrzynie i stroić mnie począł, jak pannę na wesele. Żupan kitajkowy żółty, spodnie grodeturowe błękitne, buty safjanowe ze srebrnemi podkówkami. Kontusz jeno wzięliśmy od brata Sebastjana, bo bardziej był mi

wporę, że to brat Sebastjan, pięcioma ledwo rokami ode mnie starszy, jeszcze brata Jędrzejowej miary w barach nie trzymał. Jakem się w tych szatkach w zwierciadle przejrzał, ażem poczerwieniał z uciechy: widziałem się sobie, jak sam najjaśniejszy królewicz!

A tu wszedł znowu brat Jędrzej, szablę niosąc grzeczną w ręce, i rzecze:

— Naści, bracie! Poczciwa to szabelka i niejednegom nią dokazał. Niech ci służy: tobie na zdrowie, inszym na szkodę!

Więcem brata za kolana obłapił i, klingę z dziwerowanym napisem ucałowawszy, do bokum sobie szablisko przypiął.

Zaczem ruszyliśmy razem do izby paradnej, skąd już wrzaski szły na cały rynek. Siedziała tu kompanja zacna, samych posesjonatów: pan Trzciński, podczaszy rawski, osiłek znaczny, pan Chojecki z przeoranym pyskiem, pan Rapacki - kuternoga i paru inszych. Brat Jędrzej prezentował mnie wszystkim po starszeństwie, a ja kłaniałem się każdemu godnie, zaś z pychą,

żem ci też Sulerzycki, choć i młodziak. Tylko brata Sebastjana, co pod bratem Jędrzejem na Sasach sługiwał, całowałem w ramię, jak się należy. Najwięcej udali mi się pan Trzciński i pan Bębnowski: pierwszy, że siłacz, drugi — jako *nomen omen,* bo brzuszysko wielkie jak bęben przed sobą dźwigał. Służba wniosła już rynienki z bigosem, a pan Bębnowski śliwowicy przedniej ogromne kielichy lał każdemu, kto chciał i nie chciał. Nalał i mnie. Jakem wypił, zdało mi się, głupiemu, żem do raju się był właśnie dostał. Jedliśmy ten bigos, potem zrazy ogromne z kaszą, potem prosiaki pieczone i kapłony młode, po jednym *pro personam,* tylko pan Bębnowski dwa. Do tego piwa jęczmiennego kufy. Aż podjadłszy dopiero, zabrano się do wina węgierskiego ostro. Zaraz też ochota wszczęła się bardzo dobra. Każdy byle co bajał, a głosem wielkim, że przez stół nikt nikogo dosłyszeć nie mógł. Pan Trzciński jął tynfy w palcach skręcać, a pan Bębnowski pił kwartą o zakład. Ja piłem mało, bo

mi brat Sebastjan bronił. Uważałem też, jak Chlebosio-stary, cichcem wszedłszy, coś bratu Jędrzejowi do ucha szeptał. Zaraz rozdęły się brata Jędrzejowe chrapy, jak ogierowi.

— Halt, towarzysze mili! — wrzasnął srogo. — Nowina! Sam pan Młodzianowski zjechał w trybunale mi asystować!

Tu poczerwieniał na gębie jak róża, trzasnął w stół pięścią, że mało rogu nie urwał, i wstał w gniewie. A i insi porwali się na równe nogi.

— Gdzie Młodzianowski?! gdzie?! — wołano. — Dać go tu nam, psubrata! Bić kutwę, dla Boga! Bić!!

Trzaskali w szabliska ogromnie i zaraz bieżeć chcieli, jeno nie wiedzieli dokąd. Trzaskałem i ja, a pan Trzciński, podczaszy, szczerząc zęby, sztućce stalowe w rękach łamał i z pasją o ziem ciskał. Gwałtowano okrutnie.

Ale ich brat Jędrzej uciszył. Beczkę wina podlejszego, dwudziestu może garncy, przed wrota wytoczyć kazał, na kozły po-

stawić, odszpuntować i kurkiem srebrnym zabić znowu. Siadł na niej pan Bębnowski okrakiem z puharkiem w ręku, kilku wkoło niego panów, za nimi służba, a Chlebosio na przedzie grzecznie każdego mijającego szlachcica do picia prosił. Że już zmrok zapadł, czterech pachołków pochodnie koło beczki trzymało. Dawało to cale wspaniały obraz. Chlebosio raz wraz palcem o puharek dzwonił i krzyczał woźnieńskim głosem:

— Prosimy, panowie bracia, prosimy!! Zdrowie J. W. Sulerzyckiego, deputata rawskiego!!

Zasię pan Bębnowski, brzuch przed się na beczkę wypiąwszy, jako ów sam pogański Bacchus właśnie, a z półgarncowego kielicha pociągając nierzadko, odkrzykiwał mu raz po raz:

— Sulerzycki, deputat rawski, niech żyje!! Pijcie, braciszkowie!! Pijcie, bo wino łebskie!

Jakoż wrychle zebrał się koło beczki tłum gawiedzi ogromny, a coraz to ukazy-

wał się we świetle brat-łata jakowyś i, natoczonego puharka ująwszy, wlewał sobie ów nektar w grdykę, zaczem czapkę o ziem ciskał i *vivat* bratu Jędrzejowi krzyczał. Zwykle też nie odchodził już, ale ostawał przy beczce, jak przyszyty. Panowie, a i pan Bębnowski, z beczki pilne dawali baczenie, żeby szlachciura jaki z hurmy o suchej gębie nie uszedł, rozumiejąc, że tenby ci był właśnie Młodzianowskiego *socius*. Kto sam się nie kwapił, tego służba sprowadzała grzecznie, choć i w kilku chłopa. Taka to była brata Jędrzejowa *planta* [1]): jakby Młodzianowszczak za jego zdrowie pić i wiwatować nie chciał, zasiekliby go *stante pede*, tusząc, że sam Młodzianowski za sługąby się ujął, zaczem jużby go szablami z miasta wypłoszyć się dało.

Aleć nie ułowili nikogo. Pił każdy. Jeno wina było szkoda na hołotę, a i pan Bębnowski, nad miarę napity, na pysk z beczki zleciał. Kazali ją tedy zaszpunto-

---

[1]) Plan, pomysł.

wać znowu i do stancji wrócili źli bardzo. Pili dalej na umór. Spać mi się chciało okrutnie, żem to u OO. Jezuitów do dnia wstawał. Zległem też zaraz.

A nazajutrz z pozaranka ruszyliśmy do Fary, gdzie deputaci *iusticiam* zaprzysięgać mieli. Adherenci, po wczorajszem pijaństwie, skwaszeni nieco i chmurni, zasię brat Jędrzej w wojewódzkim mundurze surowy jeno i godny.

W kościele wszystko było z ostentacją wielką: chodnik od samego proga rozłożony, szeroki, świec z jarzącego wosku rozpalonych tysiąc, tłum luda do pół nawy gęsty, a na przedzie — aż precz ku ołtarzowi — deputaci z socjuszami, wszyscy napodziw strojni, że to każdy swoje województwo a i siebie samego pokazać chciał najwspanialej. Po odprawieniu mszy organowej solennej stanął najstarszy kanonik na ołtarzowych stopniach z krzyżem srebrnym w ręce, a obok J. W. Rudziński, wojewoda podówczas mazowiecki, starzec wiekiem schylony już bardzo, a powagi ogrom-

nej. Teraz jął woźny z wokandy każde województwo wołać, a deputat za wojewodą przysięgi tenor[1]) powtarzać gromko. Szli tak jeden za drugim z pompą i majestatem jako ta *summa*, a i jedyna *legum Regni* ostoja. Ażem się zapatrzył na to widowisko, gdy oto pan Trzciński-wielkolud w palce mi koło ucha trzasnął i rzekł do brata Jędrzeja grubym szeptem:

— Panie Jędrzeju! Już Młodzianowski, jucha, z despektem ku nam bieży!

Zaczem głową ku drzwiom zakrystji wskazał. Spojrzałem ciekawie. Jakoż przedzierał się tam przez deputatów szlachcic średniego wieku, ni duży, ni mały, jeno z pyskiem wilczym, a wargą wąską i zaciętą. Stanąwszy przy wojewodzie, kłapał mu tam do ucha chwilę, jak wilk. Przyszedł przez zakrystję, bo luda miał ze sobą mało i nie na siłę, widać, rachował, tylko na majestat trybunału i miejsca. Wojewoda na owo kłapanie łbem mu kilkakroć

---

[1]) Treść, brzmienie.

kiwnął: zmówili się, widać, dawno. Patrząc nań, jak stał tam przy ołtarzu, a i na brata Jędrzeja spojrzawszy, zmiarkowałem zaraz, choć młodzik, że się tu *sine sanguinis profusione* nie obejdzie.

Jakoż tak się i stało.

Ledwie przyszła wokanda na województwo rawskie i brat Jędrzej, z brzękiem podszedłszy, rękę ku przysiędze wznosił, huknął Młodzianowski na cały kościół:

— Nie pozwalam przysięgać! Dwie kondemnaty na nim! Mężobójca! Infamis!

Zaś brat Jędrzej rękę wzniesioną piorunem na lewy bok spuścił i, szablę wyrwawszy, w łeb nią Młodzianowskiego ciachnął bez słowa. Zaczem leżącemu poprawił ze dwa razy.

— *Crimen,* mości panowie!! *Sacrilegium!* Gwałt!!

A insi, co bliżsi, huknęli na cały kościół:

— Gwałt, mości panowie!! Gwałt! Do szabel!!

Odrazu też rozruch wszczął się okrutny. Łyczki i hołota, co z samej jeno asystowała ciekawości, sypnęła się odrazu ku kruchcie w wielkim strachu. *Urodzeni* jęli w szable trzaskać gromko, a każdy darł się: gwałt! i bij! — jeno że mało kto, o co chodzi, rozumiał. Tupot stanął w kościele, zamieszka i wrzask, jak nigdy. Ale już brata Jędrzejowi *socii,* na ową przygarść Młodzianowskiego wpadłszy, rozerwali ją w mig i, rąbiąc, pędzali po prezbiterjum jak psy owce. Sam brat Jędrzej, krzyczącego wojewodę szablą w stalle kanonickie wpędziwszy, szubkę na nim po kilkakroć przeciął, że stary przycichł zaraz. Zaczem pana Zarembę, sędzię ziemskiego sieradzkiego, garścią za ramię chwyciwszy, przemocą do ołtarza powlókł i płazem do czytania sobie *tenoru* zmusił.

— Czytaj, waszmość—groził—boś trup!

Też i czytał. Zaś brat Jędrzej, w lewicy skrwawioną szablę dzierżąc, prawą dłoń na Ukrzyżowanym złożył i przysięgę wszem wobec powtarzał gromko.

Co uczyniwszy, na rozruch więcej nieuważny, mocnym krokiem przed kościół ku wyjściu ruszył. *Socii,* a i my, bracia, za nim. Szeroką nam dano drogę: nikt nic nie gadał, by zaś samemu czegoś przy tem nie oberwać. Wyszedłszy, otarł brat Jędrzej szablę o połę munduru i, w pochwę ją wraziwszy ze szczękiem, zaśmiał się do nas:

— Tom ci już teraz deputat przysięgły.

Ruszyliśmy do ratusza hurmem. Warta broń przed bratem sprezentowała pięknie. Insi deputaci usuwali się od nas krzynę, ale nie rzekł nikt słowa. Skoro nikogo już nie brakło, ni ze świeckich deputatów, ni z duchownych, wzięto się do *scrutinium* na marszałka. Za parę też pacierzy huknęły moździerze na wiwat. Wyszedł tym razem J. W. Dunin-Karwicki, regent koronny. Pan niewielki, tylko uczony bardzo.

Okrutna była śród moich panów z tego Karwickiego radość. Rozumieli, że jako człekowi niebardzo możnemu, nie stanie mu serca na brata Jędrzeja się porwać. Boć

i jakże? Toć deputatem z Rawszczyzny obrany legalnie, a i Pan Miłościwy własnego rotmistrza na krzywdęby nie dał. Nie waży się mości Karwicki, choć i Dunin! Bakałarz to raczej, nie marszałek! Toć i na ucztę, jak się to marszałkowi patrzy, deputatów nie prosił! Beczki wina kolegom żałuje!

Zato brat Jędrzej tego dnia wina nikomu nie żałował. Lało się od samego obiadu do północka, jak woda. Pili panowie w stancji, piła i drobniejsza brać na Rynku przy pochodniach jak wczora, piła służba, piła czeladź, zgoła pił każdy, kto chciał. Piłem i ja. Sam brat Jędrzej puharek węgra przedniego mi nalał i, dłoń na mojem ramieniu złożywszy, winszować mi sobie zezwolił łaskawie. Już mi i brat Sebastjan nie bronił. Piłem też i węgierskie, i francuskie, i cypryjskie słodkie, piłem i miód stary, dziadowego jeszcze sycenia. Piłem, bo mi się cała rańsza sprawa niebardzo wydała, że to w kościele. Niewielka to rzecz Młodzianowskiego-jakie-

go zrąbać w ulicy czy na rynku — ale insza przy ołtarzu, przed samem obliczem Boskiem! *Sacrilegium!* Skóra mi na grzbiecie ze strachu cierpła. Nie było mi tajne, że kościół tam po nas wykadzać będą jak po zapowietrzonych, i widziałem się już na samem dnie piekieł *cum parricidis haereticisque.* A z drugiej strony, com w brata Jędrzejowe lica spojrzał, najszczerszym afektem braterskim płonąłem doń znowu i djabłu w gardło za nim gotów byłem bieżeć zaraz. Piłem też z alteracji owej mocno.

Piłem mocno, ale nie wydołałem pić długo. Wszedłszy Chlebosio po wieczerzy, aże w dłonie na mój widok klasnął. — A bójcież się Boga, mości panowie! — krzyczał. — Cóż mi to z dzieckiem robicie?! — Roześmieli się wszyscy, a ja chciałem właśnie korda na Chlebosia dobyć, jeno że wstawszy, runąłem zaraz na ziem jak ścięty. Wyniosła mnie służba na łoże jak trupa.

Spałem też nazajutrz cały ranek, o Bożym świecie nie wiedząc. Jużem i na trybunał wstać nie mógł, choć mnie i budzili.

Dopiero koło południa Chlebosio stary nakrycie ze mnie zdarł siłą i jął mną trząść jak workiem. Ledwiem jedno oko na niego otworzyć zdołał, bo we łbie miałem prawdziwe djable wesele. Ale tem tylko okiem na starego spojrzawszy, skoczyłem zaraz z posłania na równe nogi. Lica bo miał jak trup, a trząsł się jak pod mieczem.

— Co się stało! — wrzasnąłem.

— Nieszczęście! — jęknął. — Wstawaj, Leon, bo nieszczęście! Pana Jędrzeja pod straż wzięli.

Nie rzekłem na tę wieść nic, jeno kazawszy sobie łeb zimną wodą zlać po kilkakroć, odzienie na się kładłem śpiesznie.

— Jakże było? — pytałem.

— Ano, jak się deputaci na ratusz zeszli, to zaraz i do pana Jędrzeja. Że skoro kondemnat nie zniósł z siebie legalnie, zasiadać z nimi nie może. Zaczem prosili na ustęp. Wyszedł pan Jędrzej grzecznie, obiecując wrychle się z nich oczyścić. A tu ledwie w przysionek parę kroków zrobił, zasadzona tam warta łap go za obie rącz-

ki. Siedzi teraz w kordygardzie pod mocną strażą.

— I nie bronił się?

— Jak się tu bronić?! Karabelkę miał tylko na sobie leciuchną, a i tę wzięli mu zaraz. *Nec Hercules contra plures!*

Przeszedłem do izby paradnej, gdzie już wszyscy nasi panowie byli w kupie. Nastroszeni jeno i chmurni, jak sowy. Ledwie mi poniektóry głową na powitanie kiwnął. Gadali mało. Brat Sebastjan siedział blady i groźny. Sam pan Bębnowski tylko z gębą jak burak, a z puharkiem dla pociechy w ręce, trząsł brzuszyskiem okropnem w złości i wykrzykiwał:

— Jakże to, bracia?! Jakże szlachcica prawem niepokonanego więzić?! Gdzie *legum fundamenta?!* Gdzie wolność?! Huczek zrobić! Dla Boga, huczek zrobić!!

— Łatwo waćpanu gardło drzeć, kiedyś i u Fary nie był, jeno jak wieprz spity leżałeś — mruknął pan Rapacki.

Aleć mnie pan Bębnowski swojem słowem w samo serce trafił. Ażem poczerwieniał.

— Co tu radzić, mości panowie! — krzyknąłem. — Szlachtę zebrać i na ratusz!! Odbić brata siłą i kwita!

Tu otworzył na mnie pan Trzciński, podczaszy, oczyska ogromne i jął niemi obracać w gniewie, jak sam puhacz właśnie.

— Jakem, jako i waść, mleko miał pod nosem, tom się i na tureckiego cesarza samotrzeć wybierał. Jeno że mi nie stanął — rzekł. — Co tu gadać! Nie nam się na trybunał porywać. Ani się na to hetman wielki, ani sam graf Brühl ważyć może. Dla nas, mości panowie, byleby samym głowy z pod gorącego prawa unieść, bo już się nam na karkach chwieją. Tociem panu Jędrzejowi, jak brat rodzony, a przecież nijakiej rady nie widzę. Jedną chyba: wal, panie Sebastjanie, do Miłościwego Pana po glejt, chwili próżno nie tracąc!

— W Grodnie Miłościwy Pan — rzekł pan Chojecki. — Sejmowi przytomny, co się tam agituje. Daleka droga.

— Nie bliska — przyznał podczaszy. — Aleć inszej rady niema.

Zaczem wstali. Jeszcze pan Rapacki szabliskiem o bok się trzasnął i splunął:

— Udał się nam Karwicki, jucha! Hę?

W godzinę może wyruszył brat Sebastjan do Grodna, a insi panowie rozjechali się tegoż dnia o zmierzchu, chyłkiem. Ostał tylko sam pan Bębnowski, a nazajutrz przybył i brat Józef z pobliskich dobrów. Jęliśmy teraz do deputatów co możniejszych suplikacje wnosić, ale mało kto chciał z nami gadać. Na trybunał, ani do marszałka warta nie dopuściła nas zgoła, a i brata Jędrzeja widzieć nam nie dano. Włóczył się jeszcze pan Bębnowski po gospodach pośledniich, by zaś rozruch jaki śród hołotki wzniecić, ale nie szło mu to wcale, że już i księża z ambon przeciw bratu Jędrzejowi o *sacrilegium* wrzeszczeli mocno. Tyle że codzień spity nocą do dom wracał. Siedzieliśmy tedy, po onych daremnych instancjach, milczący, jak po pogrzebie. Cała nadzieja była w królewskim glejcie, co go brat Sebastjan miał przywieźć.

Trzeciego dnia czytali brata Jędrzejowy wyrok. Dopuszczono i nas, braci, na owo czytanie. Odzieliśmy się żałobnie i szli, gorzkie łzy lejąc, bo głośno już było w mieście, że na gardło skazan. Pchał się za nami na trybunał kto żyw, ale warta puszczała tylko *urodzonych,* i to bez oręża. Dano nam śród arbitrów miejsca, a wraz po wejściu trybunału wprowadzono i brata Jędrzeja pod godną strażą. Wszedł dumnie i cały czas nic po sobie, prócz pychy, nie pokazał. Deputatom nie skłonił się wcale, jeno patrzył na nich chmurnie, jakby to on ich właśnie, a nie oni jego sądzić mieli. Dopiero nasze braterskie łzami zalane lica dojrzawszy, skinął nam raz jeden lekko głową.

A tu już krzyknął *instigator:*

— Woźny! Otwórz i zamknij drzwi!!

Nastała wielka cisza. Podszedłszy woźny ku drzwiom ponuro, rozwarł ich obie połowy, a wraz i zatrzasnął z takim hukiem, że aże się ratusz w posadach zatrząsł.

Na to mu *instigator* znowu:

— Woźny! Otwórz i zamknij drzwi!!

Znowu trzasnął woźny drzwiami, jakoby z armat walił. Czynili tak po trzykroć. Gdy ostatni huk po sali przeszedł, zmartwiały wszystkie serca, a tu i ówdzie ucieranie nosów słyszeć się dało. Krzyknął teraz woźny tęgim głosem:

— Uciszcie się, mości panowie, do słuchania dekretu!!

Zaraz też deputaci świeccy, nakrywszy głowy, wstali z rumorem wielkim, zasię duchowni, siedząc, lica jeno ukryli w dłoniach, jako że, *ratione* stanu swego, głosów za dekretem śmierci nie oddali. Zaczem pisarz ziemski czytał bratu Jędrzejowi, jako to imieniem *Regis et Reipublicae* głowę ma dać pod topór. Nie rzekł na to brat Jędrzej nic. Nawet kolorów na licach nie zmienił. Łba jeno jeszcze wyżej uniósł, a patrzył dumnie i chmurnie, jako i wprzódzi. Wyprowadzono go też zaraz. Okrutne teraz poszły po sali wzdychania, mną zasię taka żałość targnęła, że na nic już nie ba-

cząc, jeno się przez arbitrów przedarłszy, padłem przed trybunałem na kolana z okropnym rykiem:

— Łaski, J. W. Panowie! Łaski przez Boga żywego! Łaski!!

Ale porwała mnie straż zaraz i na rękach do sieni wyniosła.

Twarde miał imć Karwicki serce! Płakać nam jeno pozwolił, a i widzieć brata Jędrzeja raz jeden.

Brat Jędrzej spokojny był na podziw. Zastaliśmy u niego dominikanina-księdza i patrona trybunału, z którym sukcesję po sobie obmyślał. O nas, braciach, pamiętał o każdym, nie przepomniał też przyjaciół, ani sługi żadnego. Skoro patron wyszedł, siadł z nami dłuższą chwilę i z braterskim afektem o drobnych sprawach mówił. Bratu Sebastjanowi wszystkie swoje suknie, mnie cały oręż oddać kazał. Brata Michałowej opiece konia starego polecił, co w wojnach pod nim chadzał. Zgoła gadał o sobie jak o umarłym. Znowu polały się moje łzy i łkałem tak, że mnie niczem

wstrzymać nie mogli. Brat Józef perswadował, jako brata Sebastjana z glejtem jeno patrzeć. Żachnął się na te nasze łzy i pociechy brat Jędrzej, spochmurniał nieco i rzekł:

— A to idźcie już lepiej, braciszkowie mili! Z Bogiem mi tylko teraz rozmowy toczyć, nie z ludźmi. Jego też łasce was, bracia mili, oddaję.

Zaczem obłapiał każdego z nas gorąco i ku drzwiom wypychał zlekka. Tyleśmy go i widzieli.

Ścięto go w kordygardzie dodnia, przy pochodniach.

A skoro świt wpadł na Rynek brat Sebastjan z glejtem. Spienionego konia pod stancją zdarł i hukał na mnie gromko. Wyległiśmy wszyscy we chwilce. Gębę miał brat Sebastjan od niewczasu żółtą, oczy gorączkowe w czarnych dołach, a wychudł cały na drzazgę. Ostatkiem głosu ku nam rzucił:

— Żyje też?!

Na wieść o nieszczęściu jęknął tylko i, pięść ku niebu wzniósłszy, Bogu chciał

bluźnić. Zaraz mu brat Józef gębę czapką zatkał, ale i tak niewiele mógł przemówić, bo chwiał się na siodle z mordęgi i zaraz ludziom na ręce leciał. Nim go do stancji wnieśli, spał już jak dziecko i spał tak półtorej doby. Nie dziwota: w trzy dni pięć koni zajechał na śmierć i sto dwadzieścia mil odwalił daremno. O trzy jeno godziny się spóźnił.

Na taki to bratu Jędrzejowi srogi koniec przyszło. A po jego śmierci jakby zaraza na nasz dom padła. Naprzód brat Michał od towarzysza pancernego, co podatki wojskowe w powiecie wybierał i ową luterkę gładką bratu uwiózł, w pościgu, gdy go był dopadł, z rusznicy legł ustrzelon. Brat Sebastjan też niewielu rokami brata Jędrzeja przeżył. Zaraz po swej do Grodna wyprawie, z żalu wielkiego ojczyznę sobie miłą zbrzydziwszy, do Sasów się zaciągnął i w bitwie przeciw Fryderykusowi bez chwały głowę położył. A niedługo po nim i brat Józef, gdy letnią porą dla znacznych upałów spać na siennik za-

lazł, od ognia z lulki zaprószonego wraz z całym siennikiem zgorzał.

Mnie, najmłodszego, zgoła insze lubo też mizerne czekały przygody. Jużem po owym okrutnym na trybunale familji naszej uczynionym despekcie do O.O. Jezuitów nie wracał, boć wstyd tylko i hańba mnie tam *exspectabant*. Trzy lata przy bracie Józefie bąki zbijałem, pókim się za J. W. ordynata Zamoyskiego instancją na dworzanina do hetmana w Białymstoku nie dostał. Nie z potrzeby, jeno aby się we świecie rozejrzeć, obyczajów tudzież gładkich nabrać i poloru. Służyłem lat kilka J. W. hetmanowi wiernie, że to godniejszego dworu pańskiego w całej Koronie wówczas, a i na Litwie chyba nie znalazł. Byłem też temi czasie po słowie z jedną panienką zacną z Rawszczyzny, a i powinowatą naszą, z którą oboje afekt ku sobie czuliśmy najszczerszy.

Aż tu i na mnie fatalny *casus* przyszedł. Służbę dnia tego przy samym J. W. hetmanie sprawiałem, gdy oto pod sam

obiad zajechał przed pałac — pan Dunin-Karwicki. Ten ci sam Karwicki, co brata Jędrzeja ściął w Lublinie. Zatrzęsła się we mnie na tę wieść każda żyłka i zaraz cały rozum z żałości i gniewu straciłem. Stanął mi znowu w pamięci brat Jędrzej na marach z ową krwawą, katowskim mieczem na szyi uczynioną pręgą. „Przez żywy Bóg“ — myślałem — „Trza mi teraz brata Jędrzeja pomścić!“.

Chciałem się już z czekanem na Karwickiego rzucać, alem poniechał, w bliskości go ujrzawszy. W wieku bo już był wielkim, zasuszony, mały i siwiuteńki, jak gołąb. Oczy mu jeno pod nawisłą brwią chodziły złe i surowe. Jakże tu starca bić?! Umyśliłem inaczej. Skoro rozsiedli się już wszyscy (a cały dwór *in corpore* zasiadł, jak to przy gościu) pchnąłem się na ustępie sztućcem w rękę i, krwi własnej farfurkę natoczywszy, skrwawioną dłonią przed Karwickim postawiłem ją z ukłonem.

— Sulerzycki jestem — rzekłem. — Naści, mości Karwicki!! Nasyć się krwi naszej!

Osłupieli wszyscy, a staremu ledwie oczy ze łba nie wylazły. Gębą ruszał długo bez jednego słowa, a patrzył na mnie srogo jak ryś. Wstał wreszcie i rzekł nie mnie, jeno hetmanowi, z wielką obrazą:

— Jakże to mnie pan hetman gościsz?!

Aż się zaślinił i pianą bryzgał w tej złości. A i hetman, choć zawsze rad mnie widział, o straż jął krzyczeć i o bizuny. Zaczem, choć w nogach niemocny, wstał ze stękaniem i Karwickiemu się sumitował.

Mnie zasię wyprowadziła straż do egzekucji, bo hetman sto bizunów wsypać mi kazał. Przyleciał marszałek zły bardzo, ale jakem mu rzecz całą przełożył, złości zbył odrazu. Dałem jeszcze pachołowi, co egzekucję sprawiał, dukata bitego i, pięścią mu pogroziwszy, zległem na kobiercu posłusznie. Bili mnie też dla parady jeno, jako się suknie trzepie, że zaraz, z ławki wstawszy, mogłem na koń siadać i precz ze swoją służbą jechać. Nie wzeszły tu moje nadzieje na dalsze za łaską hetmańską rzeczy, ale i tak się udało, żem Kar-

wickiemu - jusze nosa przyciął. Ruszyłem prosto w Rawszczyznę, umyśliwszy ziemiański chleb jeść odtąd, a ożenić się corychlej.

Aliści *res adversae* rade parą chodzą. Przyjechawszy, dowiedziałem się zaraz, że mi rodzice pannę miłą cichcem w Wielką Polskę wywieźli i tam za miecznika poznańskiego, wielkiej fortuny człeka, zamąż dali. Ryknąłem na to jak tur, w komnacie się zamknąłem i ryczałem tak ze sześć tygodni. Nie chciałem wtedy ludzi, ani dnia Bożego oglądać, bo mi się *intestina* skręcały z żalu, a serce pod samą grdykę podeszło. Zaczem, do rozumu wróciwszy, gniewem się zawziąłem okrutnym. Jąłem hultajów w powiecie werbować i grosz wszelki do kupy gromadzić, bom już zbójeckim sposobem na tego miecznika chciał iść, dom mu ogniem palić i, niebogę swoją porwawszy, na Niemce z nią uciekać. Piłem też naumór. Mało kto z sąsiadów godniejszych mnie odwiedzał, bo byłem wtedy na ludzi jako pies wściekły. Piłem

też z byle kim, z hołotą i z przejezdnymi, którychem służbą na rozstajach łapał.

Aż bernardyn jeden, braciszek ze szlachty a i pijak dobry, skarg moich na losy złe wysłuchawszy, rąbnął mi *ex abrupto:*

— Toć dziecko, dobrodzieju, dojrzy, że Bóg was, Sulerzyckich, doświadcza. Na ofiarę sobie Pan pana Jędrzeja obrał, żeby sprawiedliwość wznieść w narodzie. Nie wiesz to, dobrodziej, że po pana Jędrzejowem ścięciu każdy trybunał, w Piotrkowie czy w Lublinie, bez gwałtu się obywa? Wszystkie dekreta pan Jędrzej krwią swoją pieczętuje. Że zasię z okazji onej i Pana w Jego świątyni obraził, stąd na was, Sulerzyckich, kara. Nie o skargach tu, dobrodzieju, ani o nowych *exscesach* myśleć, jeno pokutę czynić i Bogu za łaskę dziękować.

Zgniewałem się na tego braciszka mocno i precz mu kazałem ruszać. Ale w serce mi jego słowa wpadły. Im dłużej o tem myślałem, tem jaśniej mi się widziało, że

ów *simplex servus Dei* jakoby w otwartej Boskiej księdze czytał. Już i pijaństwo odeszło mnie pomału, już i hultajów zwerbowanych na cztery rozpędziłem strony. Sam zasię w sukni najskromniejszej i jedynej na kałamaszkę w jednego konia siadłszy, do Bernardynów do Zamościa na rekolekcje jechałem. Tu, gdym czterdzieści dni na postach i biczowaniu spędził, oblała mi łaska Pańska serce weselem wielkiem. Umyśliłem bernardyński habit przywdziać, jako i ów braciszek proroczy, bo jużem we wszystkiem palec Boży widział. Tak się też stało mimo brata Józefowe (co żył był, nieborak, jeszcze) gniewy. Chciał mnie później biskup na księdza święcić, alem się wyprosił dla pokory i tem większej za ród Sulerzyckich pokuty.

Nagrodził mnie Pan spokojem i wesołością. Kiedy mnie teraz panek jaki na despekt służbie da, albo i psami wyszczuje, jako braciszka prostego, śmieję się jeno z takiej przygody, miarkując, że na tamtym świecie brat Jędrzej umiłowany cieszy się

z takiego pysze Sulerzyckich afrontu. Jeszcze za Barskiej Konfederacji dał mi Pan szczęście prochowej woni powąchać i w Częstochowie, Najświętszej Pannie ku obronie, niejedno działo na schizmatyków niecnych zrychtować celnie. Zgoła dobrze mi życie zeszło. Dzisiaj, kiedy mi już kaptur włos cały na łbie wytarł i co dnia sierć bielutką na gębie brzytwą skrobię, rozumiem, żem najprostszą ku chwale Sulerzyckich obrał drogę. Śmierci już tylko dobrej *exspecto* i zbawienia wiecznego. Co niechaj mi się stanie. Amen.

OJCOWIE LUDU

Dnia 22 vendémiaira roku III-go Rzeczypospolitej Jedynej i Niepodzielnej, około godziny 6-ej po południu, ulicami Paryża zdążał szybko ku Tuilerjom obywatel Sieyès. Nic w postawie jego, ani stroju nie wskazywało na wysokie stanowisko członka Konwencji i na godność uznanego prawodawcy narodu. Nie powiewał mu wspaniały pióropusz nad głową, nie przepasał się też świetną szarfą trójkolorową o złotych frendzlach. Wysoką, szczupłą postać owinął w ciemny, rudawy od starości płaszcz, a kapelusz o szerokich krajach nacisnął na same oczy, jakby nie chciał być od nikogo poznany. Odzieniem tem, a i ruchami przypominał katolickiego księdza — nic dziwnego, bo księdzem był przecie przed rewolucją. Idąc, rzucał wokół siebie uko-

śne, nieznaczne spojrzenia: przyzwyczajenie, którego nabył za ciężkich dni Teroru i z którem nigdy odtąd rozstać się już nie mógł. Szedł szybko, o ile przy zapadającym zmroku a pogaszonych dla braku paliwa latarniach szybko iść się dało. Przeszkodę stanowiły znaczne w brukach wyrwy (pamiątki niezliczonych powstań) oraz kupy śmiecia, zalegające jezdnie i chodniki.

Nie sprzątano - bo Paryża chyba od czasu święta Istoty Najwyższej. Ludność zajęta była czem innem. Mimo przeraźliwego chłodu jesiennego i siepiącego lodowatego dżdżu, w każdem załamaniu murów stały i siedziały trzęsące się kupy łachmanów z wyciągniętą ku przechodniom ręką. Przed każdym sklepikiem i kupcem winnym, w małem świetle wystawionej w oknie łojówki gromadziły się tłumy zgłodniałych, z nabożeństwem wpatrzone w szczupłe a dla wysokiej ceny niedostępne zapasy. Obywatel Sieyès obchodził te grupki, schodząc ostrożnie na jezdnię. Ale co paręset kroków, przed każdym pieka-

rzem i jatkami, stały ogony tak zbite i długie, iż o obejściu ich nie mogło być mowy. Zdawało się, że cała ludność Paryża wyległa po nędzny kąsek rządowego chleba. Ludność głodna i rozdrażniona. Co chwila wybuchały tu bijatyki i kłótnie, a klęto w sposób okropny. Klęto Boga i ludzi, klęto Francję i rewolucję, klęto rojalistów i jakobinów, klęto Komitety, klęto i Konwencję Narodową. Konwencję przedewszystkiem! Pilnujący tłumów żandarmi konni słuchali tego w milczeniu.

Obywatel Sieyès przedzierał się przez ten zgiełk siłą ramion, poprzez miejsca najsłabsze, poprzez staruchy i dzieci. W pewnem miejscu poznano go przecież. Jakiś obdarty, inteligentny, a zielony z głodu człeczyna wskazał go tłumowi z urągliwym gestem: „Sieyès!“ — Sieyès! Sieyès! — ozwało się kilka naraz gburowatych głosów. I oto ze wszystkich nagle stron runęły nań inwektywy, gwizdy i epitety. — Precz! Precz! — wołano. — Precz z mordercami! Precz z Konwencją! Królobójca!

Sieyès! Oddaj konstytucję z 93-go! — Z tych przeciwstawnych sobie politycznie a zgodnych w nienawiści wrzasków widać było jasno, że Konwencja nie cieszy się sympatją niczyją. W jednej grupce, śród ciągłych krzyków „Precz!“ i „Sieyès!“, śpiewano już sankjulockie *„Ça ira“*, w drugiej — pośród tych samych okrzyków — podjęto reakcyjny *„Réveil du peuple“*. Zresztą napierano na Sieyèsa coraz gwałtowniej. Jakaś rozkosudana megera jęła przeciskać się ku niemu przez tłum, z wyciągniętemi szponami i gębą pełną wymysłów. Jakiś podpity bas huknął: „Na latarnię!“ Sieyès zbladł. Prawicą ujął mocniej tęgiego kija-sękacza, jaki nosił ówczesną modą pod płaszczem, i począł cofać się ostrożnie ku murom. W pewnej chwili krzyknął wysilonym głosem:

— Żandarmi! do mnie!

W głębokim już mroku rozległ się ostry klekot podków po brukowcach. Ale do zbrojnej interwencji nie doszło. Bo oto ze zgrzytem poszły wgórę żelazne rolety

piekarni, a na ten dźwięk tłum porzucił Sieyès'a odrazu. Miał odbyć się cud rozdawnictwa rządowego chleba. W drzwiach piekarni wszczęła się zaciekła a milcząca prawie walka wszystkich przeciw wszystkim. W tę też stronę ruszyli i żandarmi.

Sieyès cofnął się teraz w ciemność i skręcił w pierwszą przecznicę. Sękacza wyjął z pod płaszcza i potrząsał nim gniewnie. Biegł prawie. Wargi ścisnęła mu złość i wzgarda. Serce tłukło niespokojnemi rzuty.

Dopiero na świetny widok Tuilerjów opanował strach i gniew i wolnemi kroki minął wojskową u bram wartę.

Ale nim doszedł środka ciemnawego dziedzińca, raptem wzdrygnął się znowu. Bo oto z jakiegoś załamania prześlicznych skrzydeł budynku znowu runął ku niemu gniewny tysiącogębny wrzask. I tu lud, lud podniecony i głodny! W blasku latarni widział już znowu rozkołysane głowy i wzniesione pośród tłumu pięści. W innym, najciemniejszym kącie dziedzińca doj-

rzał regularne szeregi stojącego pod bronią żołnierza. Zwrócił się w tę stronę pośpiesznie i wszedł do gmachu najbliższem szeregów wejściem.

Długą chwilę szedł rzęsiście oświetlonemi przedsionkami i szeregami prawdziwie królewskich sal audjencjonalnych. Woźni otwierali przed nim drzwi śród pełnych szacunku ukłonów. Dążył do Komitetu Ocalenia Publicznego, istotnego narodowego rządu, a najstraszliwszego organu politycznego we współczesnym świecie. Ten to Komitet w ciągu lat kilku wywrócił ład społeczny i ustrój państwowy dawnej Francji; przez lat kilka srożył się nazewnątrz i wewnątrz w sposób wszechwładny i nieubłagany. Lecz oto i na niego już przychodził koniec. Z pozornie rozwiązanej Konwencji tworzono już Izbę Pięciuset i Radę Starszych. Za dni kilka wszechmocny Komitet Ocalenia miał dać miejsce Dyrektorjatowi Pięciu. Działo się to na podstawie nowej konstytucji, przez Sieyès'a właśnie ułożonej.

Stanąwszy przed drzwiami sali posiedzeń Komitetu, Sieyès zastukał lekko. Nie odpowiedział mu nikt. Nacisnął tedy klamkę bez dalszych ceremonij.

Wszedłszy, zdziwił się nieco, bo sala posiedzeń była ciemna. Od bocznej tylko ściany szła jaskrawa łuna rozpalonego w kominku ognia. Widać było w tym blasku siedzącą na fotelu, a pochyloną ku ogniowi postać ze szczypcami w dłoniach. Sieyès poznał *çi devant* księcia Cambacérès'a, prezesa Komitetu, króla dziś niejako bezkrólewskiej Francji. Był to mąż o rysach pięknych i rozumnych, ale rozlany już i przyciężki, mimo lat czterdziestu kilku. Zamyślił się widać głęboko, patrząc w ogień, bo kroków Sieyès'a nie dosłyszał. Ten złożył mu lekko dłoń na ramieniu.

Cambacérès aż skoczył na to dotknięcie. I on od czasów Teroru nie cierpiał niespodzianek. Opanował się przecież natychmiast.

— To ty, Sieyès? — rzekł przyjaźnie. — Wiesz, że cię wysuwają na Dyrektora?

— Wiem.

— Idziesz ku władzy. Winszuję.

— Niema czego. O mało mnie dziś tłumy nie rozdarły, gdy tu do was szedłem.

Cambacérès roześmiał się na to samym tylko głosem, jakby zaszczekał.

— Ha-ha! Bo pocóż chodzisz piechotą, Sieyès? Władza musi jeździć, żeby się na owacje ludności nie wystawiać.

— Nie stać mnie na powozy — rzekł sucho Sieyès.

A pomilczawszy chwilę, rzucił surowo i ponuro:

— Jest źle.

Cambacérès wzniósł ku niemu oczy ironiczne i zdziwione.

— Nie sądzę, Sieyès. O cóż chodzi? Plebiscyt się nam udał, twoja konstytucja przyjęta, do izb wchodzą członkowie Konwencji w dwu trzecich... Rząd jest nasz. W prairialu daliśmy cięgi sankjulotom, tydzień temu — rojalistom. Jesteśmy znowu potężni. Więcej. Jesteśmy prawie bezpieczni.

Sieyès machnął ręką niecierpliwie.

— Nie o to chodzi. Giniemy — mówię.

— Co?! Nowe powstanie?! Czy nowy spisek?

— Nie o nas idzie. Francja ginie.

Cambacérès nachylił się nad ogniem i poprawił polana szczypcami.

— No, skoro tylko Francja... — rzekł uspokojony. — Gadasz, jak z trójnoga. Dziś nie Francję ratować czas, tylko Francuzów. Byle głowę unieść i starości dożyć.

— Nie tak mówiłeś, gdyś w noc na czwarty sierpnia zrzekał się tytułu i przywilejów na rzecz ludu. Wierzyłeś w honor rewolucji.

— Ba! Sześć lat temu! Byłem głupi.

— Dziś jesteś mądry?

— Rozważny.

— Cyniczny. A przez te sześć lat obróciliśmy kwitnący kraj w perzynę. Francja przez nas ginie.

— Da sobie radę. Bywała w gorszych opałach... O sobie myśl, Sieyès, mówię.

— Urwaliśmy u dzbana ucho. U dzbana z krwią. Francję i pół Europy dzisiaj zalewa!

Cambacérès jął się wreszcie niecierpliwić. Pytał ostro:

— Oskarżasz, Sieyès! Czynisz mnie winnym?! A sam coś robił w tym czasie?

Sieyès opuścił głowę.

— Milczałem — rzekł głucho.

— Też to. Milczałeś. Jakeś zamknął usta za Konstytuanty, toś je dziś dopiero otworzył. Milczałeś. Milczałeś, gdy burzono wszystko wbrew zdrowemu rozsądkowi. Milczałeś, gdy rządziło krajem szaleństwo. Milczałeś, gdy ścinano króla. Milczałeś, gdy rozkradano majątek narodu. Milczałeś, gdy mordowano najgodniejszych i cnotliwych. Milczałeś, gdy, jak błazny, musieliśmy tańczyć na zgliszczach Francji. Milczałeś, Sieyès. Nie wiem, czy ze zgrozy milczałeś, czy ze strachu? Milczałeś.

Sieyès milczał i teraz. Nie odrzekł nic. Wtedy tamten, jako ostatni cios, rzucił mu z pewną emfazą:

— I jeszcze ci jedno przypomnę. Mimo wszystko dokonaliśmy rewolucji.

Sieyès nachylił się na to i rzekł mu do samego ucha szeptem:

— Straciłem już wiarę w rewolucje, Cambacérès.

Cambacérès żachnął się i uniósł głowy. Czerwony odblask płomieni zalał mu twarz przy tym ruchu. Patrzał Sieyès'owi w oczy. Machnął wreszcie prześliczną dłonią i jął mówić bardzo cicho i bardzo szybko:

— I ja straciłem. Ale mnie wszystko jedno. Stało się. Ja wierzę w życie. Wierzę, Sieyès, że nie myśmy zrobili tę rewolucję, tylko życie samo. Życie zadało rany, i życie je zabliźni. Myślę, że my, mężowie stanu, nie znaczymy nic. Myślę, że jesteśmy jak bezwolne boje, miotane olbrzymiemi falami życia.

Sieyès wrócił już do zwykłej oschłości.

— Tego nie wiem — uciął. — Nie wierzę w nic. Patrzę tylko. Wydaje mi się, że niema dla tego kraju ratunku. Dobrnę-

liśmy do szczytu hańby i nędzy. Pamiętam też, że upadł i wielki Rzym i że rok temu patrzałem na konanie Polski...

W tej chwili w blasku rozwartych drzwi stanęła niewielka postać, a zawahawszy się chwilę w progu wobec ciemności, huknęła w głąb sali głosem przenikliwym i ostrym:

— Hola! jest tu kto?!

Cambacérès odwrócił się nieco wraz z fotelem. Ton mowy znowu miał już ironiczny i zlekka pogardliwy.

— Tu, do nas, La Réveillère! Do ognia! Jest i Sieyès. Żąda tu ode mnie rachunków i poucza sztuki rządzenia.

— Mówię, że jest źle — powtórzył Sieyès ponuro.

La Réveillère - Lépeaux, desygnowany członek Dyrektorjatu, mały był i garbaty. Przeduchowiona kalectwem twarz tchnęła odwagą, zaciekłą uczciwością i fanatyzmem. Maleńkie, zmarznięte rączki zatarł nad ogniem i patrzał na Sieyès'a zdołu nieufnie.

— Kraczesz, Sieyès — stwierdził napastliwie. — Cóż z krakania?

— Chcę wiedzieć. Chcę od was dowiedzieć się prawdy. Mów, La Réveillère!

Natchnione rysy La Réveillère'a ściął nagle surowy upór. Kiwnął głową. Pytania i odpowiedzi były teraz, jak huk młota i brzęk kowadła.

— Prawda to, że trzecia część Francji odłogiem leży?

— Prawda.

— Prawda, że przemysł zniszczony, a lud miejski z głodu i zimna ginie?

— Prawda.

— Że Paryż, źrenica oka rządu, ma pół funta chleba na osobę, i to nie codzień?

— Prawda.

— Że na prowincji panuje anarchja, jak kraj szeroki i długi? Że Południe staje przeciw Północy, że departament walczy z departamentem o zboże? Że wszędzie bunty i rzezie?

— Prawda.

— Że skarb pustkami świeci, choć rozsprzedano pół państwa?

— Prawda.

— Że floty nie mamy już wcale?

— Prawda.

— Że armje nasze walczą bez butów i cofają się wszędzie?

— Prawda.

— Że trzymamy się władzy wśród klątw i nienawiści?

Garbus skoczył teraz, jak ryś. Wystawiwszy długi i przezroczysty palec, przebijał nim teraz Sieyès'a za każdem zdaniem, jak sztychem.

— Tu cię mam, Sieyès! — krzyczał. — I to prawda! Ale cóż z tego. Mamy władzę w rękach. To jedno jedyne jest ważne. Nie liczy się nic innego: ani ów głód, ani skarb pusty, ani wojenne klęski! To musi się jeszcze zmienić. Chodzi o to tylko, żeby utrzymać się przy władzy, bo wtedy utrzymamy zdobycze rewolucji. Zdobycze rewolucji, Sieyès — tę jedynie rzecz wielką dzisiaj i świętą! Obaliliśmy tyranję,

wróciliśmy naród wolności, zniszczyliśmy zabobon, zmieniliśmy odwieczne zwyczaje, zmniejszyliśmy zbytkowne potrzeby, wydarliśmy z serc zastarzałe nałogi. Wznieśliśmy moralność ponad egoizm, uczciwość ponad honor, zasady nad obyczaj, obowiązek nad wygodę, władztwo rozumu nad tyranję przesądu. Zapałem naszym, jak ogniem, wypisaliśmy w ciemnościach hańby: „Wolność, równość, braterstwo“. Blask tego hasła bije dziś na świat cały! Musimy utrzymać się przy władzy, Sieyès!

Sieyès słuchał tego w ponurem milczeniu. Cambacérès z wyraźnem znudzeniem. Kręcił się na fotelu i raz nawet ziewnął dyskretnie. W tej chwili doszedł tu z dziedzińca głuchy ryk zgromadzonych tam tłumów. Cambacérès powstał, przeciągnął się potężnie i klasnął w dłonie trzy razy.

— Dość gadania — rzekł. — Woźni! Światło! Światło!

Do rozjarzonej dwoma złocistemi pająkami sali posiedzeń jęli się teraz z sąsiednich sal i gabinetów schodzić inni po-

tentaci Francji. Pierwszy nadszedł Barras, *çi-devant* wicehrabia i oficer królewski, terorysta, poskromiciel Marsylji i ostatniego powstania rojalistów, najpotężniejszy dziś człowiek w Republice, gracz zresztą i rozpustnik. Powitawszy obecnych grzecznie, a siadłszy obok Cambacérès'a, szeptał mu zaraz do ucha jakieś swawolne, widać, zwierzenia, bo śmieli się obaj gęsto, choć półgębkiem. Za Barras'em, nadszedł wkrótce i blady Carnot, świetny twórca armij republikańskich, pracownik niestrudzony i na wszystko poza pracą obojętny. Nadszedł Tallien, łupieżca Bordeaux, co strącił był Robespierre'a ze strachu o słynną z urody i zdrad żonę. Nadszedł krwawy malarz David z teką rysunków pod pachą. Nadszedł młody i prawy Daunou. Nadszedł i eks-mnich, żonaty z zakonnicą, Roux, człek gruby, rubaszny i wstrętny, a wielkiego dziś przecież znaczenia, jako urzędowy żywiciel Paryża. Nadszedł Rewbell o twarzy i mowie rzeźnika. Szli inni, mniej wielcy, czy tylko mniej znani.

Wszystkiemi drzwiami wsuwali się za nimi urzędnicy. Wkrótce zielone sukno olbrzymiego stołu pokryło się papierami, które ci możni podsuwali sobie do podpisu. Podpisywano, nie czytając prawie: były to bowiem podania i sprawy osobistej raczej natury. Prawie każdy załatwiał interesy własne i przyjaciół, jak to przy zmianie rządu. Panowało milczenie. W jakiejś chwili stanął przed stołem jeden z woźnych i zameldował:

— Delegacja bataljonu patrjotów z 89 roku.

— Ilu? — spytał Cambacérès.

— Sześciu.

— Wprowadzić.

Wszyscy nadstawili ciekawie ucha i odłożyli pióra. Na twarzach odbiło się zakłopotanie, niechęć i złość, jak bywa zwykle, gdy rząd przyjąć musi wątpliwych sprzymierzeńców z lewicy. Cambacérès napęczniał odrazu powagą i władzą, Barras wydął usta wzgardliwie. La Réveillère nastro-

szył się nagle jak jastrząb. Rewbell parsknął wśród ogólnego milczenia: — Będzie zabawa!

Delegacja stanęła przed stołem bez ukłonu. Przeważali w niej najskrajniejsi członkowie Konwencji Narodowej. Zbyt dobrze znali swych kolegów z rządu, aby się im kłaniać mieli. Łączyła ich i dziś jeszcze wspólność zbrodni i wspólność niebezpieczeństwa. Nie dzieliła ich nawet rzeka przelanej krwi: krwi wspólnych ongi wodzów, wspólnych przyjaciół i wspólnych wrogów. Dzieliła ich — władza. Delegaci mieli ją kiedyś w ręce i stracili. Stracili na rzecz tych, szczęśliwszych, co teraz za stołem siedzą. Byli delegacją pokonanych.

To też oczy ich płonęły ponurą nienawiścią. Na czoło wysunął się tu odrazu „wściekły“ Vadier, straszliwy przed dwu laty przyjaciel „św. trójcy“ Teroru. Człowiek ten nie mówił, tylko grzmiał, jak piorun. Padały wówczas od tych grzmotów głowy, jak przejrzałe jabłka.

— Stoją tu przed wami, obywatele, najszczersi patrjoci, prawdziwi obrońcy ludu — rozpoczął zaczepnie. — Tydzień temu daliśmy wam pomoc przeciwko rojalistom i zdrajcom. Naszemi dłońmi lud poparł was zbrojnie, żeby ratować rewolucję. Daliśmy wam zwycięstwo, choć wiemy, że daliśmy je w ręce niegodnych! Słuchajcie głosu ludu, obywatele!

Tu podniósł dłoń — i oto, jakby za sprawą czarów, poparł go zdołu, z dziedzińca, głuchy ryk tysiącznego tłumu. Stało się jasne, że poplecznicy delegacji agitują w tej chwili zgromadzoną przed żywnościowym urzędem gawiedź. To też większość dygnitarzy za stołem ogarnął gniew, jak pożar. Sypnęły się inwektywy i obelgi. Krzyczeli wszyscy naraz. — Co mówi?! — wołano. — Bezczelność! Dali nam zwycięstwo?! Kto?! Wojsko słomiane! Patrjoci z szynków! Lud na dole buntują! Wyrzucić! Woźnych wołać!

Ale już Vadier wzniesioną dłoń sztywno przed siebie opuścił, jakby ich gasząc

tym gestem, i na wysokości ramienia wstrzymawszy ją patetycznie, grzmiał ponad nimi jak burza:

— Drżyjcie, obywatele! Krew pomordowanych jakobinów woła do was przeze mnie! Krew Brutusów i Gracchów! Krew Robespierrów, Couthonów i St. Justów! Krew sprawiedliwych i nieprzedajnych! Słuchajcie, obywatele, suwerennego ludu, póki krzykiem tylko do was sięga! Bo święta gilotyna szlifuje już ostrze na wasze gardła!

W tej chwili, gdy przecie odetchnąć musiał, ozwało się krótkie, pogardliwie przez zęby jak warknięcie rzucone, ostrzeżenie Barras'a:

— Nie groź, Vadier, nie groź!...

A i mały La Réveillère krzyknął ze straszną nienawiścią:

— Mało wam krwi, katy! Zaleliście nią Francję po kolana!

Vadier jakby tylko na ten okrzyk czekał.

— Mało! — huknął. — Mało! I twojej nam trzeba, garbusie! Mało krwi! Po

kolana brodzimy w niej, mówisz?! Będziemy w niej brodzić po szyję! We krwi zdrajców, arystokratów, bogaczów i egoistów! Niech zostanie w tym kraju co dziesiąty tylko człowiek, byle jakobin i sankjulota!

La Réveillère porwał się z krzesła i bił w stół obu piąstkami. Na przezroczystą twarz wyszły mu krwawe rumieńce.

— Milcz, Vadier, milcz! — głos załamywał mu się z pasji jak kogutowi. — Czyjem imieniem to mówisz?! Obejrzyj się, kto za tobą stoi?! Imieniem Javogues'a to mówisz? Javogues'a, co złoto z krwi wyławiał i w kieszeń pchał nieobmyte?! Imieniem Rossignola, którym w Lionie matki dzieci straszą?! Imieniem pijaka Cussin'a? Imieniem fałszerza Babeufa?!

Vadier stropił się nieco na dźwięk tych zbyt już osławionych nazwisk. Odparł ponuro:

— Przemawiam imieniem suwerennego ludu, co was tu na swą klęskę wprowadził! O złoto Rewbell'a pytaj raczej! O zbrodnie — Talliena i Barras'a!

Zaczepiony Rewbell, który dotąd słuchał tylko obojętnie, nie obraził się i teraz. Odezwał się po chamsku a rzeczowo:

— Stul pysk! Dosyć bredni! Mów, czego chcesz, poprostu.

Znowu rozległ się groźny ryk tłumów. Ale nie głuchy już, jak poprzednio, tylko wyraźny i bliski. Widocznie ściągnięto lud pod same okna obradującego rządu.

Vadier odzyskał pewność siebie odrazu. Odzyskał i wspaniałość gestu. Dłoń ku oknu wyciągnął i przegiął się w tę stronę całem ciałem, jakby słuchał. Grzmiał znowu.

— Słyszycie, obywatele?! Słyszycie gromki głos ludu?! Ten krzyk, to krzyk o głowy wasze! Głodny lud śmierci się waszej domaga!

— Wyście głód sprowadzili! Wasze krwawe rządy!

Ryk za oknami trwał i wzmagał się z każdą chwilą. Na tle stałego rumoru coraz to wybuchała nowa raca wrzasków tak potężnych, że trzęsły się od nich szyby. Zdawało się, że okna pękną lada chwila

i że fale ludowego gniewu wedrą się na salę, jak orkan, aby samem tylko tchnieniem zmieść zebranych tam władców.

Vadier, na tej ludowej burzy jakby na skrzydłach wzniesiony, wyrywał z niej teraz i ciskał piorun za piorunem.

— Żądamy regeneracji Francji! Regeneracji ludzkości! Żądamy wolności, równości i braterstwa! Żądamy sprawiedliwości powszechnej! Żądamy konstytucji z 93-go! Żądamy wezwania patrjotów do Konwencji! Żądamy śmierci na rojalistów i zdrajców! Żądamy otwarcia klubu jakobinów! Żądamy...

Zawahał się i jakby namyślał się chwilę, czego ma żądać więcej. Jednocześnie ryk tłumu za oknem opadł nagle: słychać było już tylko nikły głos pojedyńczego mówcy.

Rewbell uniósł się szybko z za stołu i, naśladując gest i patos Vadier'a, rzucił tym samym co i tamten tonem:

— Żądamy wskrzeszenia Dantona i żyrondystów! Żądamy zimy w lecie, i lata w zimie!

Sam pierwszy zaśmiał się grubjańsko z własnego żartu. Zawtórowało mu wielu członków rządu. Co gorsza — i w pośród delegacji zarechotał ktoś hałaśliwie. Był to wiecznie pijany Cussin. Koledzy wypchnęli go szybko wtył, ale już vadier'owskie pioruny wpadły w ten śmiech, jak w wodę.

— No gadaj tam, kto rozsądny! — burknął teraz Rewbell ostro. — Czego naprawdę chcecie?

— Chleba i wódki! — wyrwał się znowu ochrypły głos Cussin'a.

Rozległy się nowe śmiechy. Vadier, jakby zmrożony tym pijackim głosem, zamilkł ponuro. Stojący obok Javogues zarecytował śpiesznie:

— Chcemy lafy dla oficerów. Podwójnych racyj i żołdu dla bataljonu. Chcemy amnestji deportowanych patrjotów.

Cambacérès otworzył teraz przymknięte dotąd wzgardliwie powieki.

— No, wreszcie — rzekł spokojnie. — Żołd i rację otrzymacie. O amnestji posta-

nowi Konwencja. A teraz, obywatele, zwrot wtył i marsz.

Delegacja zwróciła się ku drzwiom odrazu. Tylko Vadier odwrócił się jeszcze od proga i wzniósł groźnie zaciśniętą pięść:

— Jeszcze zobaczę was na szafocie, zdrajcy!

Barras parsknął na to króciutkim śmieszkiem.

— Nie zdążysz! Ja prędzej cię tam wyślę, Vadier.

— Dlaczego nie dzisiaj?! Boisz się, arystokrato?

— Nie. Tylkoś mi jeszcze potrzebny, psie wściekły. Na straszaka.

Vadier huknął drzwiami straszliwie.

Cambacérès złożył teraz dłoń na ramieniu Sieyès'a.

— Któż uwolni nas wreszcie od wymownych Vadier'ów? — mówił ze wstrętem. — Uff, przyjacielu! Jakże mam dosyć tych błazeńskich Brutusów, Coclesów i Gracchów! Tych śmiesznych regeneracyj

ludzkości! Za Robespierre'a wychylało się przynajmniej z tych bredni ostrze gilotyny: trzeba było słuchać uważnie. Dziś wygląda z nich tylko głupstwo i nuda...

Odpowiedział na tę przemowę nowy ryk tłumów za oknami. To lud witał powrót delegacji. Cambacérès skrzywił się gniewnie i puścił ramię Sieyès'a.

— E, za wiele mi już tych wrzasków! — rzekł. — Rozporządź się tam, Barras, z łaski swojej. Wyrzucić hołotę! Tylko nie trzeba strzelać. Końmi i bagnetem, łagodnie. Wyrzucić, i bramy zamknąć.

Barras wyszedł. Wszystkiemi drzwiami znowu sypnęli się urzędnicy. Znowu zaskrzypiały pióra i znów głowy dygnitarzy pochyliły się nad papierem.

W pewnej chwili zatętniły na dziedzińcu kopyta końskie i zaraz ozwał się tam straszliwy rumor. Buchnął nagle ku oknom przeraźliwy, zwierzęcy wprost wrzask i skowyt. Znowu jękliwie zadźwięczały szyby. Trwało to ledwie moment. Bo oto ryk skłębił się jakoś odrazu, cofnął od

okien i głuchł szybko. To lud pierzchał przed żandarmami. Śród dalekiego już zgiełku huknął żelazny łomot zamykanych bram. Doszedł znowu spokojny już klekot koni po kamieniach, równomierny tupot wracających oddziałów piechoty — i cisza.

Żaden z piszących nie zwrócił na te hałasy najmniejszej uwagi. Jakby nie było ich wcale. Jakby tam, za oknami, nie działo się nic, albo działo się w innym i obcym świecie. Zbyt byli do tych spraw przywykli. Od sześciu długich i srogich lat... Pisali. Jeśli który rzucił pióro, to dlatego tylko, że skończył. Wielu, skończywszy, rozprawiało między sobą ze śmiechem. Inni wychodzili do sąsiedniej sali i wracali stamtąd z policzkami wypchanemi jadłem. Malarz David pokazywał Barras'owi wspaniałe projekty strojów dla Rady Starszych i Dyrektorjatu. Wreszcie rzucił pióro i sam Cambacérès. Przeciągnąwszy ręką po czole, pytał niecierpliwie.

— Ale, Roux! Jakże tam z żywnością dla miasta?

— Ciągle ta sama obfitość, obywatelu prezesie. Po pół funcika. Jeśli i tego na rogatkach nie rozgrabią.

— Djabli z twoją obfitością! Jeszcze nam za nią kiedy głowę urwą! A gdzie Hourrier-Eloi? Aha, jesteś stary! Cóż tam z asygnatami słychać?

Stary urzędnik wyprostował się przed nim trwożliwie.

— Prasy nie nadążają bić, obywatelu prezesie. Nie starcza...

— Musi starczyć! Bij od dziś tylko grubsze sztuki. Byle jeszcze te kilka dni przetrwać. Potem niech sobie Dyrektorjat radzi, jak zechce...

Wstał i przeciągnął się z satysfakcją.

— No, to wszystko na dzisiaj — kończył. — Chodźcie jeść. Chodź, Sieyès! Podły Roux głodzi Paryż, ale nas żywi nieźle... Chodźcie jeść.

Ruszył się już z za stołu, ale Barras wstrzymał go gestem.

— Chwilę, prezesie. Czeka jeszcze jenerał Buonaparte.

— A, prawda, nasz zuch z przed tygodnia! Malec o zabawnem nazwisku! Dawaj go, Barras, prędko, bom głodny. Siadajcie, obywatele!

Wszyscy siedli pośpiesznie, przybierając znowu wyraz oficjalnej powagi. Nawet ci, co nie skończyli żuć jeszcze, czynili to z właściwą władzy godnością. Zawalony papierami stół pięknie świadczył o pracowitości zebranych.

Na progu ukazał się niewielki i szczupły młodzieniec w wojskowym mundurze. Zawahawszy się chwilę, jakby oślniony świetnością zgromadzenia, rozejrzał się po niem niespokojnym wzrokiem. Poczem, z nagłą decyzją, krokiem drobnym i szybkim ruszył poprzed środek stołu i zamarł tam w żołnierskiej postawie. Twarz miał chudą i śniadą. Nos orli. Długie, czarne włosy spadały mu tłustą falą na wyszarzany kołnierz aksamitny. Zbliska dało się liczyć plamy na mundurze i szarfie trójbarwnej, którą ujęty był w pasie. Milczał.

Cambacérès podniósł się z majestatem.

— Obywatelu jenerale! W imieniu najwyższej władzy Francji, w imieniu Konwencji Narodowej, mam szczęście oświadczyć ci, jenerale, żeś dobrze zasłużył się Rzeczypospolitej.

Rysy młodzieńczego jenerała nie drgnęły. Przełknąwszy ślinę, rzekł głosem suchym i bez wyrazu:

— Niech żyje Konwencja Narodowa!

Nikt tego okrzyku nie podniósł. Cambacérès mówił dalej:

— Obywatelu jenerale! W uznaniu twych świetnych zasług Komitet Ocalenia Publicznego mianuje cię wodzem wewnętrznych sił Republiki. Odnośny dekret zostanie ci odczytany i doręczony w obozie, wśród twoich walecznych żołnierzy.

Buonaparte milczał. Twarz mu stężała w posępnym bezruchu. Oczy patrzyły ponuro bez śladu przyzwolenia i uciechy. Lewą dłonią skubał nerwowo złociste frendzle pasa. Milczał. Zaciekle milczał. Aż zdziwiony Cambacérès spytał z surową ironją:

— Mało ci zaszczytów, jenerale?

Młodzieniec potrząsnął czarną grzywą włosów. Otworzył usta i zamknął je znowu, jakby z nieśmiałości czy z gniewu. Gdy wreszcie mówić zaczął, głos darł mu się i szarpał ze wzruszenia.

— Nie urodziłem się do zaszczytów! Urodziłem się do chwały wojennej. Nie tu, nie we Francji, nie na Francuzach zdobyć ją mogę. Ja chcę trójbarwne sztandary nieść przez Europę, przez państwa i ludy, aż na rubieże świata! Chcę, by imię Republiki było groźne, jak miecz, i wspaniałe, jak słońce! Chcę zwycięstw, obywatele!

Cambacérès ledwie powstrzymał uśmiech do tej młodości.

— Chcesz zwycięstw?! Będziesz je miał, jenerale. Po ukonstytuowaniu nowego rządu, po zapewnieniu spokoju narodowi, damy ci pierwsze dowództwo.

Buonaparte patrzał mu w oczy długą chwilę. Kiwnął też raz głową, nie wiedzieć—jemu, czy sobie. Poczem, odstąpiwszy o dwa kroki, wyprężony po wojskowemu,

wzniósł rękę ku górze i krzyknął całą siłą płuc:

— Niech żyje Jedyna i Niepodzielna!

Orlą twarz przepoił przy tym krzyku zapał tak straszliwy i nieodparty, że wszyscy porwali się na równe nogi. Ze wszystkich gardeł wydarł się ten sam niebosiężny krzyk:

— Niech żyje Jedyna i Niepodzielna!

Nim okrzyk przebrzmiał, Buonaparte opuszczał już salę szybkim krokiem. Sieyès ruszył za nim bez słowa.

WIGILJA WOJEWODY

— *Non possum te absolvere, fili*[1]).

Wojewoda, co już był ku przyjęciu absolucji ze stękaniem na jedno kolano przypadł, mruknął na to zdołu, uszom własnym nie wierząc:

— Hę?

Księżyna młodziutki, w zakonnej sukience, powtórzył przecie, lubo i z wielkiem dusznem uciśnieniem:

— *Non possum te absolvere, fili..*

— Jakże to? Co gadasz, księże!

— *Non possum...*

Filius[2]) zerwał się na to *dictum*[3]), że w kościach trzasło, sczerwieniał we chwil-

---

[1]) Nie mogę cię rozgrzeszyć, synu! [2]) Syn. [3]) Powiedzenie.

ce, zatrząsł się, niby w wielkiej chorobie i jął tupać nogami w podłogę. Zatkało go, jako że był raptus. Ryknął przecie:

— A hultaj! Z oczu precz!

Księżyna zginął we drzwiach, jakby go wiatrem wywiał.

Sam zostawszy, wojewoda jął biegać po komnacie, właśnie jako ten dziki zwierz w klatce. Wąsa szarpał, pasa na brzuszysku poprawiał raz wraz, po boku się za szabliskiem macał. Bo i jakże to? Żeby jego, Świdzińskiego, wojewodę, senatora Rzeczypospolitej, taki despekt! Absolucji nie dostał, on, wojewoda! jakoby jaki żak, jak pauper! Absolucji nie dostał — i od kogóż to? Od prymasa może? od księcia biskupa krakowskiego może? od prałata jakiego choćby?! Nie. Od służki własnego, od kapelana, co był go sobie z Warszawy na szpakowaty łeb sprowadził, na swoje utrapienie! Od pijarzyny marnej, chłopczyczka, chudeusza-mizeroty, co mu na klasztornym wikcie brzuch do krzyżów przyrósł!

— A hultaj! — ryknął znowu.

Miesiąc tu ledwie siedzi, odgryza się, a tak już sobie poczyna! *Vir doctus* [1]), uczony, jucha! Wszyscy owi pijarzy tacy! Niedarmo samego hetmana wielkiego pijarzyna opętał! Od jezuitów gorsi, wiadomo! *Viri doctissimi!* [2]) Zęby na św. teologji zjedli, a rozumu za tynfa! Żeby choć wymiarkował taki przecie, że on, wojewoda, spowiadać się dziś nie musi. Żeć to nie Wielkanoc! Że z radości własnej to czyni, ze zwyczaju swojego, dla Pańskiego Narodzenia tylko, dla Boskiego honoru! A tu ci pac! — jak w pysk dał! Niesłychana to rzecz, jak Rzeczpospolita Rzeczpospolitą! Nie może być, żeby na sucho uszło! Nie może to być!

— A hultaj!

Czując wojewoda, jako mu krew całą gębę zalała z wielkiej złości, zaalterował się przecie o zdrowie i, leciutko żupana szarpnąwszy, wraz połowę guzów na ziem

[1]) Uczony mąż. [2]) Męże najuczeńsi.

strzepnął i szyję *opressione liberavit*[1]). Co uczyniwszy, z rozmysłem już ujął ze stolika puharek pusty, a ze szkła ordynaryjnego (co dobrze wyrozumiał) i, o ziem go *cum strepitu*[2]) cisnąwszy, rozbił na kawałeczki. Zaczem ze znaczną ulgą siadł w krzesła i czekał.

Jakoż *statim*[3]) pokazał się z za drzwi łeb łysy jak kolano i aże sczerniały od starości. Wąsiska miał okropnie długie, wdół puszczone, a siwiuteńkie. I nie dziwota. Z ojcem wojewody jeszcze, ś. p. kasztelanem, szwedzką potęgę *sustinebant*[4]), jako onego Carolusa *socii*[5]), co go pod Pułtawą Moskwa paskudnie znieśli. Dzisia, choć i sam *possessionatus*[6]), *majordomował*[7]) u wojewody.

Tedy, łeb tylko z za drzwi wytknąwszy, pojrzał na onego rozbitego puharka szczątki, ale nie rzekł nic. Dopiero go wojewoda sam przyzwał:

---

[1]) Uciśnioną uwolnił. [2]) Z łomotem. [3]) Natychmiast. [4]) Wspierali. [5]) Towarzysze. [6]) Posiadacz dóbr. [7]) Marszałkował.

— A pójdź, Malesiu, bliżej... Coś ci powiem.

I zaraz, nieco się z krzeseł podniósłszy, rzucił mu w sam czerwony nos właśnie:

— Absolucji mi nie dał. Ha!

Majordomus[1]), jako był do słuchania schylony, tak i pozostał. Łypał tylko na wojewodę ślepiami, jak talary.

Rzekł wreszcie cale cicho:

— Nie dał? Pijarzyna? Śmiał to?

— Nie dał. Pijarzyna. Całą mi wigilję świętą zepsował!

— A toćbym go obuszkiem!

— Ale, obuszkiem... *Cum infallibili salutis iactura!*[2])

— *Iactura,* nie *iactura,* a jabym obuszkiem! Bo jakoż będzie?

Wojewoda ręce rozłożył. Pomilczeli. Dopiero majordomus rzecze:

— Ano, raz było tak. Ciągnęliśmy z kasztelanem do Szweda ku Wielkiej Pol-

[1]) Marszałek. [2]) Z nieodzowną zbawienia duszy stratą.

sce *armata assistentia* [1]). W lędzkim klasztorze zaczęło wojsko brykać, że to i głód był wielki. Aż też, jak się do piwnic dobierać mieli, braciszek jeden krzyki wyprawiał wielkie, na afront wojskom czynił, a i godności nie *discernując* [2]), samego kasztelana pludrem ozwał. Nie zrobił mu kasztelan nic. Kazał go tylko sznurami do konia oklep przytroczyć i z podjazdami puszczać. *Triduum* [3]) z nami jeździł. Dłużej nie wydołał. Na łeb z konia zwisał, a i od sznurów popuchł. Może go też i nie karmili.

Wojewodzie aż grdyka tam i sam chodzić poczęła z wielkiego do tej opowieści smaku.

— Wyżył też?

— Braciszek ten? Czy wyżył? *Possibile* [4]).

Pomilczeli znowu. Aż westchnął wojewoda, jak miechy:

---

[1]) Ze zbrojnym hufcem. [2]) Nie rozróżniając. [3]) Trzy dni. [4]) Być może.

— *Tempore belli* [1]) było... Nie te dziś czasy, Malesiu.

— Pewnie, że insze. Nie trzeba też klechy do podjezdka wiązać. Żeby tak na mnie, saniebym mu zrychtował łubiane, konie do przeprzęgu porozstawiał, ze dwu konnych dla respektu dodał, żeby wbok uskoczyć nie mógł, i pchnął *hoc modo* [2]) w Bracławskie, niebardzo czem przykrywszy. Byle nie uświerkł. Rozumiem też, żeby już na drugi dzień z drogi oną absolucję przysłał.

Wojewoda westchnął jeszcze ciężej.

— Nie te czasy, Malesiu... I co braciszek, to nie ksiądz mszalny, i co cysters, to nie pijar. Pijarów tych na palcachbyś się, wasze, doliczył wszystkich, a i estymę mają wielką. Na widoku są. Huczek byłby śród szlachty. A i śród senatorów. Nie wiesz to, waść, że u hetmana w Białymstoku sam pan Mokronowski tyle teraz *auctoritate* [3]) nie waży, co Konarski, pijar!

---

[1]) Czasu wojny. [2]) W ten sposób. [3]) Powagą.

A i Pan nasz Miłościwy takiejby rzeczy nie popuścił. Nabożny to Pan, nie ojcu (świeć mu tam, Panie) Mocnemu para. Tak to. Głupio waść radzisz, panie rada. Że już o dusznem zbawieniu nie wspomnę...

Marszałkowi aże poczerwieniała pręga na łysinie, co ją był od pana Rembielińskiego na piotrkowskim trybunale dostał.

— A też jegomość dzisiaj o tem zbawieniu ględzisz, jak stara baba właśnie, a nie senator... *Videbitur in valle Josaphat*[1]). Jeszcze tam Panu Bogu o jednego kleszkę nie wielki dyshonor! A zła była rada, znajdzie się insza. Wysłać pijara do Warszawy, a ojca Krescentego wrócić.

A i wojewoda porwał się z krzeseł.

— Kogo wrócić?!

— Ano ojca Krescentego, rzekłem. Dobry ksiądz. *Illicite*[2]) w klasztorze siedzi.

— *Illicite!* Dziw mi, że waść ciągle za tą starą kufą instancje wnosisz. Chyba,

---

[1]) Zobaczymy w dolinie Józefata. [2]) Niesłusznie.

że już tego mojego wińska stągwiami nie masz z kim doić!

— Wiadomo, że bernardyn i żołnierz nie panienki i naparstkiem nie piją. A jegomościn ojciec, ś. p. kasztelan, wina mi nie żałował, jako i ja krwie dla niego. Rozumiem też, że ojciec Krescenty nie o wino w klasztorze siedzi, jeno o ten jegomościn miód, o dziewkę — Paraskę właśnie...

Z wojewody ledwie krew nie trysła.

— A stulisz, wasze, ten paskudny pysk!

— Pewno, że gębusi gładkiej nie mam, bom i nie dziewka-Paraska. A nie o co insze na ojca Krescentego gniewy, jeno, że cięgiem ją jegomości wymawiał.

— A stul-że pysk, bo ci go zawrę, dziadu!

— Nie mnie dziś go zawarli, jeno jegomości, a o tę Paraskę pewno. Bo i nie senatorska to rzecz z chłopką się parać...

— A zła krew! A wywłoka stara!

Widząc majordomus, że wojewoda jeno okiem po komnacie wodzi, szukając, czemby weń cisnął, rejterował się ku drzwiom zwol-

na i z ostatniem słowem je za sobą zawarł. Zaczem ucho do zamku schylił i słuchał. Nic. Samo jeno sapanie. „Ano, puharek stłukł, nie ma co bić więcej“ — pomyślał, odchodząc.

Wojewoda zaś, znowu w krzesła siadłszy, więcej z udręki sapał, niźli z gniewu. Szczeka stary, jak pies, ale i jako pies wierny i na ręcach go, wojewodę, nosił. Rozumiał, widać, że go tą Paraską do żywego dojmie. Głupi! Tyle wojewoda o tę Paraskę dba, co o latośne śniegi. Do krów dziewkę przegnał i już się ku inszym ma. Cóżto, nie wdowy jest? nie chłop? Sam *medicus* [1]) z racji krwistej konstytucji nieraz radził... A i pijarowi nie o Paraskę idzie. Oj, nie! I Krescenty (opój!) o dziewki jeno dyscypliną się okładać kazał, jako nie *mens* [2]) tu grzeszy, jeno ciało mdłe. Nie o Paraskę pijarowi idzie. Oj, nie! Wyrozumiał to sobie dobrze...

Westchnął wojewoda.

---

[1]) Lekarz. [2]) Duch.

O Laski mu idzie. Ot co! O Zbyszewskich. O *causam*[1]), co był ją wojewoda w trybunale *illıcite*[2]) przeparł. *Illicite*, bo *illicite!* Toć i ta plika papierzysków, co był w niej wojewoda Zbyszewskich dłużny skrypt znalazł, własną ś. p. ojca, kasztelana, ręką znaczona była: „Do spalenia“. Musi i spłacili naprawdę, jako to i dzisiejszy Zbyszewski przed trybunałem chciał zaprzysiąc, tylko go nie dopuścili... Ale przecz wszystko na afront czynił? Przecz *nullo modo*[3]) akkomodować się wojewodzie nie chciał? Toć wszystka hołotka drobniejsza swoje przedała, a on jeden nie mógł? One Laski właśnie, folwarczek, co klinem pod samą wojewodzińską sulgustowską stodołę podłazi? Co mu całą dobrów figurę psowa? Jakiż to respons dał, gdy go wojewoda na traktaty do siebie inwitował? „Tylaż droga wojewodzie do mnie, co i mnie do niego“. Szlachetka, jucha! *Possessionatus* na dziesięciu włókach! Postronkiem zaprzęga,

[1]) Sprawę. [2]) Niesłusznie. [3]) W żaden sposób.

a witką pogania! Zbyszewski! Krewniak! Tem ci gorzej, że się dziad ze Zbyszewską żenił! Jeno estymę w powiecie rujnuje.

Znowu się wojewoda zaalterował.

Boć i jakże? Toć w tym Sulgustowie właśnie chce swoją pańską rezydencję fundować. Gdzież bo ma przyjąć godnie? Któż boby chciał się doń w bracławskie *fatigare?*[1]) A choćby i w malinieckie klucze? Tu, w samych *visceribus Reipublicae*[2]), w tym właśnie Sulgustowie, we trzy roki pałac zbuduje piękny, a z Lasków ogród wysztyftuje, niczem król arcychrześcijański. Dróżki się powycina równiutkie, fontannów, statuów różnych, galanteryj kosztownych naustawia, ziół onych pachnących, drzewek zamorskich naposadza, że i sam król Miłościwy *hospitio*[3]) nie wzgardzi. Boć i czemże ludzi niewolić, jak nie papką? A na dalsze rzeczy się zapatrując, komuż to ludzi niewolić bardziej *necesse*

---

[1]) Trudzić. [2]) Wnętrznościach Rzeczypospolitej. [3]) Gościną.

videtur [1]), niźli im właśnie, Świdzińskim? Prawda, że wojewoda on — ale bracławski, ś. p. ojciec: kasztelan — ale drążkowy. Jakoż tu bez pałacu o Lubomirską czy Potocką dla syna tentować, a choćby i dla siebie? Nie od dziś nadzieją się pasie na większą rodu illustrację. I taki Zbyszewski miałby mu w tych *plantach* [2]) kontrować? Niedoczekanie! Jego Laski i będą jego! Tak mu Boże...

Tu wojewoda, przysięgi swej nie kończąc, w język się w samą porę ugryzł. Zaczem rozsierdził się jeszcze bardziej. Wraz poczuł, że but go ciśnie. Tedy kozaczka wezwawszy, gdy tamten w strachu w odcisk go uraził, buty mu ściągając, kopnął go wojewoda w nos leciutko, że się krwią zaraz i łzami na kosztowny kobierzec zalał. Tedy słusznie mu za oną szkodę dziesięć plag odliczyć nakazawszy, uspokoił się znacznie i na Malewskiego klasnął trzy razy.

---

[1]) Potrzeba. [2]) Planach.

— Śniadanie duchem! I syna z *praeceptorem*[1]) mi wołać!

Marszałek zły, jako ta gradowa chmura właśnie, kłaniał się *iterum atque iterum*[2]) z uniżonością wielką.

— Kapelana jaśnie wielmożny pan wojewoda też rozkaże? — pytał kąśliwie.

Nie chciał się wojewoda w dalsze kontrowersje z marszałkiem wdawać, więc jeno guzy pozbierać (siedem!), a pijarowi w kredensie nakryć kazał. Zaczem, małowiele pomieszkawszy, do stołu się udał.

Czekał już nań tam synaczek jedyny z *labusiem*[3]) - Francuzem, który go w mowie francuskiej i w kunsztach wszelkich edukował. Urosło rodzicielskie serce, gdy się syn wojewodzie do rąk chylił. Bo też naschwał był pachoł, w szesnastu właśnie rokach, we wzroście słuszny, w barach tęgi, a na gębie jak róża. „Świdziński, krew z krwi, kość z kości. Lada chwila dziewki

---

[1]) Nauczycielem [2]) Raz za razem. [3]) Księżulkiem (z franc. l'abbé).

psować pocznie, jeśli już nie psowa" — myślał wojewoda z pychą, oburącz synowską głowę ściskając, a lekko, by mu zaś fryzury nie zrujnować, że to we francuskim był stroju.

Zaczem, po modlitwie do stołu siadłszy, a polewkę piwną z czarnym chlebem pojadając wolniutko, rozpytywał wojewoda preceptora po łacinie z powagą o w naukach *progressus* [1]). Wraz jął labuś słówka miodowe toczyć, miny krygować przeróżne, a łasić się i przymilać, zwłaszcza ową mowę francuską pod niebiosa wynosząc, jako że wiedział lizuch dobrze, że ją wojewoda w estymie ma, sam się jej nigdy wyuczyć nie mogąc. Wojewodzic na te *laudes* [2]) pochmurniał jeno coraz bardziej, że to po ostatniej Francuzów z cesarskimi przeciw Fryderykusowi kampanji całą nację francuską, a swego preceptora osobliwie, w wielkim miał despekcie. Aż i wojewodzie w oczy ta synowska pochmurność wpadła.

---

[1]) Postęp. [2]) Pochwały.

— A cóżeś to waćpan jak po occie?

— A tego, że mi dobrodziej te tu łaszki wdziać kazał. Ani to w tem do konia, ani do szabli.

— A waćpanu jakichże szatek potrzeba?

— Wiadomo jakich. Wojskowych. Już mi i te lata, żeby na wojnę choćby okiem spojrzeć.

— Patrzcie-no. Nicem nie wiedział, żeś waćpan taki w leciech podeszły. A do kogożbyś waćpan wojować szedł?

— Do pruskiego Fryderyka. Jako i pan Zaremba.

Wojewoda aże jeść przestał.

— Boga się waćpan nie boisz? Toć to naszego Miłościwego Pana pierwszy *inimicus!*[1])

— To Miłościwego Pana, a nie Rzeczpospolitej. A wszystkie nacje zwojował, lubo i kupą nań szły. Sasówbym z nim bił i Francuzów.

---

[1]) Wróg.

- Ano, widzę, że i z waćpana *statysta*[1]). Jeno to sobie jeszcze zważ, że pana Zarembowe *dominium*[2]) w Wielkiej Polsce nad samą śląską granicą leży i zawsze je Fryderykus swoją potencją osłonić mocen; a nasze w zgoła inszym kącie, dokąd i pruska ręka nie sięgnie. To raz. *Secundo:* skoro pana Zarembę powieszą, to i niewielka rzecz, bo i pan niewielki; a o pana wojewodzica bracławskiego większy byłby rumor. *Tertio*: jeszcze waćpanu okazji nie zbraknie i za własnym Panem się ująć, nie cudzego bronić — o to właśnie sąsiady nasze nienajgorzej dbają. Tak to. I cóż waćpan na to?

— A nic. Proszę jeno, że jakby dobrodziej najbliższego sąsiada wojować miał, to niechże i mnie ze sobą weźmie.

— Jakiego znów sąsiada?

— Zbyszewskiego. Bo już się zajazdu pilnuje. Wrota zaparł, służbie strzelbę rozdał, a i szlachty ma trochę.

---

[1]) Polityk. [2]) Dobra.

— Waćpan skąd o tem wiesz?

— Nie jeżdżę to? A i ludzie mówią. Wojewodzie jakby właśnie truciznę tem gadaniem zadał. Ale po sobie nie pokazał nic. Talerz jeno odsunął i rzecze:

— Głupiś, waćpan! Na takich sąsiadów ludzi się posyła, nie sam wojuje. I nosa waćpan w moje interesa nie pchaj, bo ci go przytnę.

Zaczem milczeli już do ostatka. Już rodzica i *aspectus*[1]) synaczka drogiego nie cieszył, już i pojadał mało-wiele, że to mu cała rańsza turbacja pod gardło podeszła. Jeno gdy już wstali, patrząc wojewoda na misterne labusiowe komplimenta, myślał chmurnie: „Tenby ci absolucję dał i we chwilce. Ale jakoż mi się takiemu spowiadać? Nie przystoi. Tamten hultaj zuchwały, ale kapłan godny. Toć i Malewski nic mu nie przymówi, choć gęba jak cholewa. Nawet się do białogłów nie bierze, a dobrze go rozpiera, musi, bo młodzik...“

---

[1]) Widok.

Tu zległ wojewoda, jako to po jadle i *afflictus*[1]) będący, a wraz i zasnął.

Parę ledwie pacierzy wyspał, aż i ocknął się, jakby go kto za szatki pociągnął nagle. Siadł wojewoda na łożu rześki, a dobrej już myśli. Poruszyło się w nim serce i zaraz cała żółć owa precz poszła. „Cóżem to medytował tyle? — sam się sobie dziwował — cóż mi z medytacjów onych? *Peccavi*[2]) i kara Boska nade mną. Toć bez absolucji przy wigilji w grzechach nie ostanę, jak szołdra kalwin jaki, czy luter. Tociem z dobrawoli, sam, nieprzymuszony owych wigilijnych spowiedziów ślub uczynił, z uciechy wielkiej, gdy mi był synaczek na świat przyszedł. Mamże to one słowo dane *neglegere?*[3]) Nie może to być! Chcesz, Panie, mojego poniżenia, naści! Chcesz mojej godności na despekt czynić — naści, Panie Jezu, despektuj! Jeszczebym za Ciebie i głowę pod topór dał, chociem senator! Użyj sobie, jako chcesz.

---

[1]) Zmartwiony. [2]) Zgrzeszyłem. [3]) Poniechać.

Twoja wola, Panie, nie moja! Tak to. A już jak ma być, *magnanime*[1]) niech będzie, po senatorsku! Tak to!"

Zaraz też z łoża skoczył, wesół, i na Malewskiego klaskać począł.

— Kontusz mi, waść, paradny podaj, guzy brylantowe, szablę, co od Miłościwego Pana, i wszystko resztę. Syn żeby też gotów był w pacierz, a i waść przybierz się godnie. Kolasę w sześć koni zaprząc duchem, kozaków na przodku trzech i na zadzie pięciu. Przy szablach jeno. Dla parady. Do Lasków jedziem, pana Zbyszewskiego w gości prosić.

Marszałek jeno łbem parę razy pokręcił, na znak, że niczemu się już nie dziwuje.

— Jako jaśnie wielmożnego pana wola — rzekł. — Rozumiem jeno, że Zbyszewski już oddawna na oną wizytę ze strzelbą czeka. Żeby nieszczęścia nie było.

---

[1]) Wielkodusznie.

— Nie waści w tem głowa! Nie *negować*[1]), jeno robić, com kazał. A duchem, żeby za dnia było!

— I pewno, że głowa nie moja, jeno jaśnie wielmożnego pana. Bo ja nie pojadę.

Rozgniewał się wojewoda na tę deklarację mocno.

— A zła krew! — wrzasnął. — Igrzysko sobie waść ze mnie czynisz, że cię jako ojca szanuję! A toć, skorom już waści niemiły, jedźże, wasze, do kroćset, kury u syna sadzić, a nie neguj mi ciągle!

W marszałku aże serce stopniało na to estymy wspomnienie. Wraz się wojewodzie do kolan schylił i obu je rękami obłapił.

— Nie odganiaj, jegomość, nie odganiaj, bo cię bardziej od syna miłuję. Jeno starość przeklęta... I zaraz do tego Zbyszewskiego jedziem, zaraz... Toć ja za jegomością i djabłu w gardło! A i zuchwała to rzecz z samą paradą prosto na strzelby

[1]) Przeczyć.

jechać. Sam ś. p. kasztelan z uciechą na to z nieba patrzy...

Uścisnął go wojewoda za głowę mocno i wraz odziewać się począł. Wesoło mu było, jakoby właśnie do ślubu się stroił. Jeszcze kozaczkowi, co ze strachem koło niego chodził, talara dał bitego i w rękę się łaskawie ucałować zezwolił.

— A masz tu, głupi, na maść po onych plażkach. Bolało, hę?

Zaczem jechali. Wojewoda z synem w kolasie poszóstnej, z hajdukami, kozacy z przodku i ze zadu, a marszałek wysforował się na sam przód na bryczuszce, jako że mu niesporo już było na koń siadać. Dojechali *hoc modo*[1]) do samego cale tęgiego płotu ze szwedzkich jeszcze czasów i do zawartej bramy, na sto może kroków. Tu ich i okrzyknięto:

— Stój! Stój! Kto jedzie?!

Uniósł się marszałek w bryczce i huknął:

---

[1]) W ten sposób.

— Jaśnie wielmożny Świdziński, wojewoda bracławski! Bramę otwieraj!!

Wraz stała się za bramą cichość, zaczem jakoweś szeptania. Z za płota wyjrzała wprzód strzelba, a za nią łeb chłopski, kudłaty. Przyjrzał się, strzelbę naładził i krzyknął:

— Zawracaj, bo strzelę.

Toż i strzelił, mało co mieszkając. Jeno się konie poprzestrachały. Marszałek zaś, co był już z bryki zezlazł, skurczył się w sobie, łeb schylił i, wieku nie miarkując, począł biec ku onej bramie, jako ta kula właśnie. Zanim dym opadł, już tam i był. A krzyknął z zadyszki srogo:

— Nie strzelaj, capie, bo cię wojewoda zgnoi! A jest też tu kto *urodzony* [1]), czy same chamy?! Wychodź, jeśli tchórzem nie śmierdzisz!!

Wraz pokazał się nad płotem młodzieńczyk, lat może szesnastu, o gębie

---

[1]) Szlachcic.

z mrozu i afektu czerwonej, jako ogień. Krócicę miał w rękach nabitą.

— Jestem! — krzyknął. — A odejdź, waść, bo strzelam!

Na to zaśmiał się jeno marszałek, plackiem do bramy za słupem przypadłszy.

— Późno, synku! Trza było wcześniej strzelać. Starszych wołaj!

I znowu począł krzyczeć głosem wielkim:

— Jaśnie wielmożny Świdziński, wojewoda bracławski! Do wielmożnego Zbyszewskiego w gości!! Bramę otwieraj!!

A już na huk onego strzału zagotowało się na podwórku, jak w kotle. Drzwi ode dworu łupały raz po raz, o broń wołano, wielu naraz męża ku bramie biegło, „a co?!“ pytano, „a kto?!“ Komuś z gorącości sama wypaliła strzelba. Coraz to jakowyś łeb podgolony na płocie się ukazował a wraz i chował prędko, na kozaków pojrzawszy.

Marszałek zaś, o rwetes niedbały, wciąż jeno pokrzykiwał swoje:

— Jaśnie wielmożny Świdziński!! Do wielmożnego Zbyszewskiego w gości!! Bramę otwieraj!!

Aż i zakrzyknięto nań zgóry:

— Cichaj, waść, bom nie głuchy! Ktoś zacz?!

Zamilkł marszałek, samego Zbyszewskiego głos poznawszy.

— Malewski marszałek. Któżby? Jaśnie wojewoda ze synem w gości do waszmość pana jedzie.

— W gości? Patrzcie-no!

— A w gości. Choć nas tu chamy jeszcze przed bramą kulami częstują.

— A cóż to jezdnych z wami tyle?

— Nie tyle, jeno kozaków dworskich ośmiu, jako że nie hetka-pętelka jedzie, jeno senator. A że w gości jedzie, więc kolasą poszóstną i bez strzelby. I dziw mi, że waszmość pan o to pytasz, sam mając luda pełen dwór.

Zaraz też ozwały się z za bramy głosy:

— A stul, dziadu, pysk! A waruj, wasze! Nie twoja to, sługo, rzecz!

Aż sam Zbyszewski huknął:

— Cichajcie, waszmościowie! Otwieraj bramę!

A i marszałek ręką na kozaków skinął:

— Ruszaj!

Wraz też wjazd odbył się wspaniały. Kozaków na przodku trzech, kolasa za nimi w szóstkę białą, w kity przepięknie strojną, na siwkach hajduków dwu, z węgierska na czerwono przybranych, na zadku znowu kozaków pięciu. Parada.

A już Zbyszewski na ganku bez czapki czekał, wkoło zaś niego gromada niemała szlachty, zbrojna i w czapkach. Ci rozsunęli się we dwa rzędy, miejsce wojewodzie czyniąc.

Ten, pomału wysiadłszy, ani na nich pojrzeć raczył, jeno ku Zbyszewskiemu sunął godnie, a ukłonu wyczekawszy, sam czapy sobolowej uniósł i zaraz nią łeb przed mrozem nakrył znowu. Syn za nim wszystko jako i ojciec czynił.

Tu rzekł wojewoda:

— Skoroś waszmość pan na Sulgustów niełaskaw, kiedym go do siebie był prosił, umyśliłem ja tedy do niego w gości przybyć. Tuszę, że mnie waszmość pan przyjmiesz, jako to *tuam meamque dignitatem decet*[1]).

Skłonił się pan Zbyszewski niżej, lubo i cale jeszcze hardo.

— Do komnat jaśnie wielmożnego pana proszę.

Ruszył tedy wojewoda przodem, za nim syn z gospodarzem, za nimi szlachta z Malewskim hurmą. Do bawialni wszedłszy, skłonił się jeszcze wojewoda dwornie jakowejś podeszłej już białogłowie i, czapkę na stół rzuciwszy spinką brylantową do góry, czekał, aż się szlachta rozmieści. Skoro zaś wszystkie oczy w siebie utkwione widział, a i cichość nastała wielka, tak rzecz swoją *explicuit*[2]):

---

[1]) Twojej i mojej godności przystoi. [2]) Wyłożył.

— Dziw to waszmość panu pewnie, a i panom braciom (tu głową samą we wsze strony skłonił się z powagą), że oto *non invitatus et sine armis* [1]) między panami stoję. Aleć niemasz tego czasu i miejsca, gdzieby krzywdy naprawić *non deceat* [2]). A krzywda się zaś tu stała ode mnie wielmożnemu Zbyszewskiemu, a i krewniakowi mojemu, przez *causam* oną, którą byłem o te Laski w trybunale wygrał. Jako że wczora właśnie, w rodzicielskim kantorku grzebiąc, *documentum* [3]) spłaty długu nalazłem był. Dziś tedy, przy tej wigilji świętej, *coram* [4]) panów braci deklaruję, jako owego *processus eventum nihili habeo* [5]), te Laski zaś za panowe Zbyszewskiego, nie moje.

W pana Zbyszewskiego właśnie jakby piorun strzelił. Chwilę wieki mrużył, jako przed słońcem, zaczem do nóg wojewodzie padł z rykiem wielkim:

---

[1]) Nieproszony, a bez broni. [2]) Nie wypadało. [3]) Dokument. [4]) Wobec. [5]) Wynik procesu za nic mam.

— Jaśnie wielmożny panie!... — gadał. — Dobrodzieju! Toć bardzo to ciężko ubogiemu prawować się przychodzi!

Już też bracia szlachta jeden za drugim beczeć a i gardło drzeć począł:

— *Vivat* Świdziński, senator!! *Vivat* wojewoda! Wgórę go, bracia, wgórę!!

Aż ich marszałek dopiero, sam *lacrimam*[1]) z wąsa strzepnąwszy, uśmierzać musiał:

— *Silentium*[2]), panowie bracia, *silentium!* Jaśnie wielmożny gada!

Zaś wojewoda, czapkę ze stołu wziąwszy, w bok się nią podparł i rzecze:

— A to, że wszystkich panów braci z gospodarzem na wieczerzę wigilijną proszę. Jak kto stoi, byle bez oręża. Bo u mnie, w Sulgustowie, nie strzelają!

Zaczem kłaniał się obecnym godnie, a za nim syn wszystko jako i ojciec czynił.

*

---

[1]) Łzę. [2]) Cicho.

Wieczorem zaś, absolucję otrzymawszy, wojewoda z klęczek z pomocą księdza wstał i, palcem pijarowi grożąc, w te się doń odezwał słowa:

— A to księdzu powiem: komunikować się do Wielkiej Nocy nie będę. Dziś Boże Narodzenie — śliniaczków jeszcze Panu potrzeba. Zaczekam, aż podrośnie. Z dziećmi nie gadam!

Pijar na to *dictum* jeno oczy do nieba podniósł.

ZDRADA

Działo się to w r. 1898-ym, na tydzień może przed odsłonięciem pomnika Mickiewicza w Warszawie. Niesłychana łaska carska — pozwolenie na budowę pomnika Mickiewicza — uważana była przez nieliczną garstkę inteligencji za oznakę „nowego kursu“ rządowego w stosunku do Polaków. Ale ogół narodu łaskom tym nie ufał. Nie wierzyła w nie przedewszystkiem młodzież.

Nie wierzył w „nowy kurs“ również i Fiodor Iwanycz Warłamow, gospodarz VII-ej klasy gimnazjum w Warszawie. Ale ów pomnik Mickiewicza gniewał go srodze. Szczególniej właśnie dzisiejszego ranka. Trzeba też pecha, że wdał się wczoraj w rozmowę o tym pomniku w Klubie Ro-

syjskim. Djabli nadali! Nie mógł to grać spokojnie w winta i popijać swego konjaku? Starzeje się, czy co? Już po pięciu kieliszkach (kieliszki — pożal się, Boże! — naparsteczki, nie kieliszki!) zaczyna być gadatliwy? Nie, Fiodor Iwanycz wie, o co chodzi. Zirytował się na swego nowego kolegę, nauczyciela Samojłowa. Młodzik, elegancik, szelma! Na nieszczęście Fiodora Iwanycza przysłali go właśnie z Moskwy do tego samego gimnazjum, niby to jemu właśnie ku pomocy w lekcjach literatury. Znamy te pomoce! Znowu mu inspektorstwo wyrwie, jak Czurkin. Bo i pewnie? Jakże wytrzymać porównanie z takim lalusiem? Frak jak z igły, wąsy jak szpileczki, ślepie jak Gruzin, a na balu w klubie tańczył z siostrą prezesa izby sądowej... Ba! taka małpa! A jak to się uśmiechnął, gdy Fiodor Iwanycz zaproponował po koleżeńsku jeszcze jeden konjak. „Merçi“ — mówi po francusku. Bodajżeś trzasł! I konjak pili przecież dla niego zagraniczny, nie rosyjski (a udaje patrjotę, szelma!)... Zresztą

co takiemu konjak? Wypije kieliszeczek jak ptaszyna i ma dosyć.

Jest godzina ósma rano. Fiodor Iwanycz wzdycha ciężko, parząc wargi gorącą herbatą. Nawet na *„Nowoje Wremia“* nie spojrzał. Ciągle myśli o Samojłowie i o tym przeklętym Mickiewiczu. Bo Samojłow cytował przy stoliku epigramaty Puszkina. Zupełnie nieprzyzwoite. Nato pewnie, żeby pokazać, że zna zagraniczne wydania, a że on, Fiodor Iwanycz, ich nie zna. Nie zna rzeczywiście — bo i poco? Puszkin — to *„Jeździec spiżowy“* to *„Połtawa“* — a nie epigramaty. Cóż-bo te epigramaty? Wstyd. Splunąć i minąć co prędzej! A ten szelma, Samojłow, wyciąga anegdotki o Mickiewiczu i Puszkinie, o księżnej Wołkońskiej... Że niby taki uczony! Tego już Fiodor Iwanycz nie wytrzymał. Palnął zaraz, że Mickiewicz to zdrajca carski i że zabronić go należy, a nie pomniki stawiać. Zgniewał się i długo coś nawet gadał o tym pomniku... Aż tu za jego krzesłem kaszlnął ktoś leciutko i mówi spokojnie: „Cóż? Wo-

la carska ten pomnik". Fiodor Iwanycz ogląda się... Kto? — Pomocnik kuratora okręgu szkolnego. A niech to wszyscy djabli!

Fiodor Iwanycz jest zgnębiony. Nawet córkę, gimnazjastkę Sonię, wita wbrew sercu srogim marsem. „A gdzież Saszka, gałgan? Znowu się do klas spóźni?" — pyta. Sonia nie wie nic o bracie, jak Kain. „Pewnie śpi" — stwierdza obojętnie. — „Jakto śpi!" — burczy Fiodor Iwanycz. — „Ma, dryblas, szesnaście lat i jeszcze się wstawać nie nauczył?" — Sonia znowu nic nie wie. Nie wie i matka, która wyszła właśnie z kuchni w brudnym staniku. Nie wie nic o Saszce, natomiast lokaj doktora Kwiatkowskiego zprzeciwka nietylko nie dał klucza od góry, ale powiedział, „że Moskale mogą i poczekać". Bezczelność! Bo i co ona, biedna kobieta, może poradzić na tych przeklętych Polaków? Przecie do cyrkułu znać nie da, a z bielizną niewiadomo co robić — „Jak ten dureń powiedział?" — pyta Fiodor Iwanycz ponuro. — „Powiedział, że Moskale mogą i za-

czekać. Kasia świadkiem". — Fiodor Iwanycz nie kończy już herbaty, nie żegna się z nikim i wychodzi do szkoły, choć jeszcze wcześnie.

Dusi go żal i nienawiść. Przedewszystkiem nienawiść.

— Tacy oni właśnie, ci Polacy! Tacy, a nie inni. I żeby ich miodem smarować, inni nie będą. Zna ich dobrze! Niedarmo piętnaście lat śród nich przeżył. Układni, a fałszywi. Układni, a Rosjaninem gardzą. Póki ma interes, to choć do rany go przyłóż, a interes załatwi, to cię nazajutrz nie zna. Zwyczajnie nie odkłoni się na ulicy. I byle wydrwić wszystko, co rosyjskie, byle na śmieszność wystawić! Nawet i ci uczniowie! Małe to, a chytre i czupurne jak dorośli. Całe szczęście, że Fiodor Iwanycz przejrzał ich oddawna i linję postępowania z nimi ma ustaloną. Nie ustąpi ani na jotę! Pędzić, pędzić „polski duch" chociażby kijem! Niech wie smarkacz, że jest rosyjskim *„grażdaninem"* [1]) katolickiego wyzna-

[1]) Obywatelem.

nia, i to z łaski. Żadnych Polaków! żadnych polskości. Jedna tylko wielka Ruś święta! Więcej nic!

Fiodor Iwanycz rozrzewnił się patrjotycznie w sercu swojem. Rozrzewnił się z goryczą.

... Tak oto w pocie czoła pracuje nad tą młodzieżą od lat piętnastu. Dla kogo to czyni? Dla cara, Rusi świętej. Bo cóż ma z tego? Nic. Czy ocenił kto kiedy te zasługi? Czy dano mu rangę wyższą przed czasem? Czy nie Czurkin poszedł na inspektora zamiast niego? Czy ma jaki order prócz Włodzimierza? Czy uznają w nim choćby tę rosyjską hardą szczerość? Nie, nie i nie. Przeciwnie, nagradzają tych właśnie, z którymi walczy — Polaków. Pomniki im stawiają. Tfu! Pewnie, że wola carska, ale polityka błędna. Błędna i fałszywa. Do zguby Rosję wiedzie, a jego krzywdzi.

Bo Fiodor Iwanycz odczuwa to poniżenie, jako osobistą krzywdę.

Doszedł do gimnazjum. Z gniewem myśli, że oto się zasapał, a szkoda mu było

pieniędzy na dorożkę. Taka to i nagroda za zasługi, że ledwie na życie starcza. Nawet na pełne szacunku zaczepki woźnego Pantieleja, szczerej duszy rosyjskiej, odpowiada niewyraźnym tylko pomrukiem. Fiodor Iwanycz jest dziś bez humoru. Raczej ponury.

W kancelarji wita go odrazu mdły uśmiech i zacieranie rączek Samojłowa.

— No, jakże tam, kolego, po wczorajszem?

Piotr Iwanycz aż się zdumiał. Czyżby znowu o ten pomnik przeklęty?

— Po czem wczorajszem?

— Ano, po tych konjaczkach... Ha, ha!

Fiodor Iwanycz poczerwieniał z nienawiści i gniewu, a poczerwieniawszy, wściekł się jeszcze bardziej w duchu. A, gałgan! Jak mu to nogę podstawia publicznie! Już i pijaka, i nieuka zeń robi!

Odpowiada przecież z ową prostą i szczerą, nieco gburowatą dobrodusznością, którą przywykł już był pokrywać swe wady, jak mchem.

— Rosyjskiemu człowiekowi wódeczka służy. Tak, młody człowieku!

Ale złość dusi go wprost. Na szczęście słyszy w tej chwili, zwrócony do siebie już, głos dyrektora:

— Fiodor Iwanycz! Pan do swojej klasy na lekcję?

— Do swojej. A bo co?

— Mam słóweczko do pana. W sprawie odsłonięcia tego tam pomnika Mickiewicza.

Fiodor Iwanycz uszom własnym nie wierzy. Zmówili się, czy co? Znowu pomnik Mickiewicza?! Słucha z uwagą, a każda żyłka drga w nim udręką i złością.

— Fiodor Iwanycz! Mam tu kilka biletów na odsłonięcie. Z pańskiej klasy pójdzie prymus Skalski. Odmówić się nie dało... Cóż począć, Fiodor Iwanycz, takie czasy! Ale niechże im pan w klasie powie kilka słów, tak po ojcowsku, żeby się za wiele po tym pomniku nie spodziewali... Bo to głowy młode, gorące...

— Powiem, ekscelencjo, powiem... Może pan być spokojny.

Dzwonek. Fiodor Iwanycz bierze dziennik i rusza do klasy. „Już ja im powiem!“ — myśli z satysfakcją.

Przez chwilę ogląda ponuro z wyżyn katedry szeregi stojących w ławkach uczniów. Skinął ręką. Siedli. Siadł i Fiodor Iwanycz. Znacząc w dzienniku zwykłe formalności, układa sobie mówkę do Skalskiego. Ale nie idzie mu to jakoś... Nawet głowa jakby go trochę bolała. Czyżby naprawdę po tym konjaku? Wzbiera w nim złość coraz większa: do siebie, do świata i do uczniów. Co tam będzie mowy do nich układał! Powie im zwyczajnie, szczerze, po rosyjsku.

— Skalski!

Prymus Skalski stanął przed katedrą. Jest wysoki, przystojny, starannie ubrany, zrównoważony i spokojny. Syn znanego w mieście adwokata.

Fiodor Iwanycz przygląda mu się surowo przez wierzch okularów. „Chłopiec jak złoto — myśli. — Każdem jego ćwiczeniem można się i przed kuratorem po-

chwalić, ale cóż z tego? Szczerości ani za grosz! Układny tylko jak wąż. Polak! Polak jak i reszta...“

— Skalski! — zaczyna pochmurnie. — Mam tu dla pana bilety na te tam... polskie uroczystości... Rozumie pan? Na odsłonięcie tego pomnika... Mickiewicza. Ja na pańskiem miejscu wcalebym tam nie chodził, ale skoro władze pozwoliły — może pan iść. Tylko zachowywać mi się przyzwoicie, siedzieć *smirno!* Jak mysz pod miotłą! Żadnych mi tam oklasków, żadnych cielęcych zachwytów! Skalski rozumie?

— Rozumiem — zgadza się Skalski obojętnie.

Fiodor Iwanycz nienawidzi właśnie tej grzecznej obojętności, z jaką polscy uczniowie przyjmują jego z serca płynące uwagi. Wyczuwa w tem słusznie cichy bunt i zawzięty opór. Ale on im pokaże dzisiaj, on im pokaże!

— Żadnych cielęcych zachwytów! — grozi teraz Fiodor Iwanycz na całą klasę. —

Żadnych zachwytów! Bo niema się czem zachwycać! Ten cały pomnik — to głupstwo. Rosyjscy poeci narodowi — to Dierżawin, to Puszkin, to Lermontow!... A nie Mickiewicz! Tamtym stawiać należy pomniki w Warszawie, nie Mickiewiczowi! Bo wobec nich Mickiewicz — to zero! Gorzej niż zero! Mickiewicz — to zdrajca carski!!

Tu huknął pięścią w pulpit, czerwony z gniewu. Wydało mu się w dodatku, iż po wargach Skalskiego przewinął się lekki uśmieszek. Grzmi teraz wprost do niego:

— Nie uśmiechać mi się, Skalski! Ja was tych uśmiechów i tych pomników oduczę! No, gadać mi tu zaraz: był Mickiewicz carskim zdrajcą, czy nie był?! Bez wykrętów, bez uśmiechów, poprostu gadać, po rosyjsku! Był, czy nie był?!

Skalski nie uśmiechał się wcale. Przy ostatnich słowach profesora zbladł raczej. Czuł, że dzieje się rzecz dziwna i że cała klasa ma weń wlepione oczy. Nachmurzył się i rzekł po swojemu, spokojnie i sucho:

— Mickiewicz żadnym zdrajcą nie był.

Fiodor Iwanycz uszom własnym nie wierzył. Taka bezczelność!

— Aa!... To ty tak! — ryknął. — Poczekaj, Skalski! Przypomnę ci to przy maturze! Pożegnaj się ze złotym medalem! Marsz na miejsce! I zaraz zobaczymy, czy Mickiewicz nie był zdrajcą! Staniewicz! Był, czy nie był?!

Stojąc już na katedrze, Fiodor Iwanycz wodzi po klasie przekrwionemi oczyma. Klasa zastygła w przerażeniu. Staniewicz, mały i szczupły, a również dobry uczeń, blednie jakoś na żółto. Odpowiada cicho i z wysiłkiem:

— Nie był.

— I ty, Staniewicz? Dobrze! Siadać. Teraz ty, Klein. Był, czy nie był?

— Nie był.

Fiodor Iwanycz pisze coś za każdym razem w swoim prywatnym notatniku szkolnym. Dusi go wściekłość. „Trzeba zapytać jakiego osła — myśli. — Dobrzy uczniowie idą za Skalskim.“

— Laskowski! Był, czy nie był?!

Laskowski, największy łobuz w klasie, patrzy nań chwilę zdumiony, poczem mówi z przekonaniem:

— Tego to ja nie wiem.

Nie wiedział, rzeczywiście. Skądżeby miał wiedzieć, kiedy go to nic nie obchodziło? Ale wynalazł zbawczą formułę. Nie mówię — tak, nie mówię — nie. Nie wiem. Klasa odetchnęła. Nikt teraz nic nie wiedział. Na wezwanie Fiodora Iwanycza uczniowie wstawali kolejno, klepiąc jak za panią matką pacierz: nie wiem, nie wiem i nie wiem.

— I ty nie wiesz, Finkelstein? Ja ci nie radzę!

Klasa natęża uwagę. Ale i Finkelstein, żyd polski, stwierdza z męstwem:

— Nie wiem.

— A ty, Szestow? Tyś przecie ruski człowiek.. No, Szestow!

Mitka Szestow, siłacz i mąż na wszystko obojętny, uniósł się ledwie do połowy ciała i warknął z gniewem:

— A ja, Fiodor Iwanycz, proszę, żeby się mnie nie czepiać. Ot, co!

Fiodor Iwanycz czuje już, że nie przełamie tego gromadnego uporu. Zielenieje wprost z upokorzenia i gniewu. Bo i jakże? Uznać się za pobitego? Ustąpić? Niepodobna. Przecie to wstyd dla niego i dla Rosji wstyd! Nie. Próbować jeszcze. Wybrać takiego, co już żadnej nadziei na skończenie szkół nie ma; takiego znaleźć i przymusić. Znowu przegląda uczniów, liczy ich na palcach prawie. Jest!

— Pietrasiewicz!

Fiodor Iwanycz przemawia do niego łagodnie, po ojcowsku.

— Słuchaj, Pietrasiewicz. Siedzisz już drugi rok, a prędzejbyś własne ucho zobaczył, niż promocję ode mnie. Namyśl się, Pietrasiewicz. Ty jeden bądź od nich mądrzejszy. A ja już będę w tem, że skończysz szkołę. No, Pietrasiewicz. Mów szczerze i odważnie, tak jak myślisz. Ja cię znam, Pietrasiewicz, tyś poważny chłopiec: o rodzicach pomyśl... No mów: był, czy nie był?

Klasa słucha tej przemowy z uwagą nieco ironiczną. Rozumie się, że powie: nie wiem. Z Pietrasiewicza porządny chłop: prawie w każdej klasie po dwa lata siedzi! Zje djabła Fiodor Iwanycz!

I oto nagle z warg Pietrasiewicza spada ponuro krótki wyraz:

— Był.

Po klasie przeszło westchnienie zgrozy.

A Fiodor Iwanycz aż ręce zatarł z wielkiej uciechy.

— *Maładiec,* Pietrasiewicz! Tak właśnie trzeba: szczerze i odważnie! Wiedziałem, żeś ty rozumny człowiek. Jeszcze i na ten kwartał stopień ci poprawimy. Chodź do katedry. Umiesz lekcję? Rozumie się, że umiesz...

Pietrasiewicz — *vulgo* Tyka — stoi przed katedrą długi i zgarbiony, jak zwykle. Nie dba, zdawałoby się, o pogardliwe spojrzenia kolegów. Nie cieszą go również widoczne pochwały nauczyciela. Powoli i ostrożnie rozwija swój szczupły zasób wiadomości, które Fiodor Iwanycz wyciąga

zeń z mozołem. Obaj aż pocą się przy tej pracy.

Pietrasiewicz wie, że postąpił paskudnie. Ale trudno: Pietrasiewicz musi dostać promocję. Musi. A promocja zależy tylko od Fiodora Iwanycza, bo język rosyjski jest najważniejszy, a Pietrasiewicz nie ma doń talentu. Potrafi rozwiązać każde zadanie matematyczne, ale litery *jat'* postawić na właściwem miejscu nie umie. Szwankuje też i w łacinie, i w grece... Skalskiemu i innym łatwo stawiać się okoniem — bo i cóż im będzie? A Pietrasiewicza wyrzucą z gimnazjum...

Tak, Pietrasiewicz musiał skorzystać z tej okazji, bo Pietrasiewicz kocha matkę. Matka Pietrasiewicza ma pracownię kwiatów sztucznych i też kocha syna nad życie. Jest ich tylko dwoje na świecie. Pracownia nigdy dobrze nie szła, a teraz utyka na obie nogi. A Pietrasiewicz ma już lat dziewiętnaście i kształci się bez powodzenia. Cóż zrobić? Nie jego to nawet wina. Ale matka się zapłakuje... Zapłakuje się i pracuje po nocach...

Pietrasiewicz musi skończyć szkołę. Niech sobie koledzy gadają, co chcą. Byle matka nie płakała... A Mickiewiczowi korona z głowy nie spadnie!

Wraca na swoje miejsce z czwórką równie ponury, jak wyszedł. Zaciął się w sobie. Sąsiad i przyjaciel, koleżka Szuster, trąca go łokciem z irytacją:

— Tyka! Coś ty narobił najlepszego, ośle jeden!

— Z czem?

— Z Mickiewiczem. Co ci znowu do łba strzeliło?!

— Cóż? Musiałem. A Mickiewiczowi korona z głowy nie spadnie...

— Tego nie wiem. Wiem jedno: osioł jesteś.

Była to przygrywka, i to łagodna. Zaczęło się dopiero po dzwonku. Ledwie plecy Fiodora Iwanycza zniknęły za drzwiami, gdy drugi sąsiad Pietrasiewicza, dotychczas tyłem doń obrócony, wrzasnął na całą klasę:

— Panowie! Kto mi da miejsce obok siebie? Bo ja koło durnia siedzieć nie chcę!

Odezwały się liczne głosy:

— Tak, tak, Kowalski! Chodź tutaj! Do mnie! Rzuć tego błazna!

Jakiś bas młodzieńczy jął ryczeć jak przez tubę:

— Pietrasiewicz—świnia! Tyka—świnia!

Cała klasa podjęła chórem tę przykrą inwektywę. Powtarzano ją wszystkiemi rodzajami głosów i we wszelkich tonacjach. Zrobił się straszliwy harmider, z którego strzelał co chwila pod sufit ten jeden wyraz „świnia“. Pietrasiewicz zbladł na papier. Zgarbiony na swej ławce jeszcze bardziej, mrugał tylko oczyma bezradnie. A koledzy, otoczywszy go teraz kołem, natrząsali się zeń z całem okrucieństwem młodości. Mało im już słów było, przeszli do czynów. Ktoś rzucił weń zatłuszczonym papierem od śniadania i zaraz sypnęły się pociski ze wszystkich stron. Koleżka Szuster, siedzący dotychczas cierpliwie obok winowajcy dla moralnego podtrzymania, zerwał się przecie, żeby sam czego nie oberwać, i syknął doń z gniewem:

— Idźże, idjoto, do domu! Na cóż czekasz? Może im do jutra to przejdzie!

W tej chwili Pietrasiewicz dostał ogryzkiem jabłka prosto w twarz.

Wstał. Nie otarł się nawet. Zwalił książki do tornistra drżącemi rękoma i rzekł do klasy dość cicho i bez przekonania:

— Sami jesteście świnie. A Mickiewiczowi korona z głowy nie spadnie...

I zaraz przeszedł śród rozstępujących się chłopców, zgarbiony i długi. Zamilkli. Ktoś tylko splunął za nim wyraziście.

Wyszedłszy ze szkoły, Pietrasiewicz nie udał się do domu. Musiałby tłumaczyć się matce, dlaczego wrócił tak wcześnie, i znowuby się zmartwiła. Długo chodził po odległych ulicach, a potem siedział w Saskim ogrodzie ze dwie godziny. Siedząc, rozmyślał nad samym sobą z bolesnem zdumieniem: czuł, że jego dotychczasowe życie znalazło dzisiaj naturalny kres. Czasu przebytego upokorzenia coś jakby przekręciło się w nim nagle i złamało... Oto ulice, któremi przechodził, były już zupełnie inne,

niż wczoraj, i Saski ogród — inny... Pietrasiewiczowi nie zdawało się już nawet ważne, żeby dostać promocję. Ważne jest to, co zrobił. Zrobił źle, choć tak źle nie myślał zrobić. A teraz sam nie wie, jak ma żyć dalej. Pietrasiewicz był głęboko nieszczęśliwy...

Wrócił do domu o pół do drugiej. Ukłonił się pannom w pracowni, powiedział matce, że lekcje skończyły się wcześniej, i poszedł do swego pokoju. Obiadu nie ruszył prawie. Nie mógł jeść. Nie patrzył nawet na pannę Kazię, która podobała mu się bardzo. Matczysko przyglądało mu się niespokojnie, ale nie mówiło nic, że to przy obcych... Pewnie znowu pała z łaciny, czy z greki. Mój Boże!

Rozmówili się dopiero po kolacji. Matka pocałowała go w czoło, jak zawsze, i rzekła z nieśmiałym lękiem:

— No cóż, syneczku? Powiesz matce, jakie masz zmartwienie?

Syneczek, wyższy od matki o półtorej głowy, długi jak prawdziwa tyka, ro-

zełkał się na to, jak dziecko. Choć nie chciał tego, choć obiecywał sobie, że tego nie zrobi. Zaraz zaczął mówić i mówił długo, spowiadał się jak w kościele. Płakali teraz wspólnie i gorzko. Było ich tylko dwoje na świecie i oboje bardzo płaczliwi... Płakali dopóźna w noc. Pietrasiewicz próbował się tłumaczyć, że Mickiewiczowi korona z głowy nie spadnie, ale matka przeczyła tylko głową ze łzami. Postanowili, że Pietrasiewicz nie będzie już kończył gimnazjum. Wstąpi do banku, choćby na praktykanta narazie. I bez gimnazjum ludzie żyją.

Nazajutrz zjawił się Pietrasiewicz do szkoły bardzo późno. Pod koniec dużej pauzy, przed samą lekcją Fiodora Iwanycza.

Klasa przyjęła go już dzisiaj spokojnie, z chłodną pogardą. Nikt mu nie wymyślał, ale nikt też — prócz przyjaciela Szustra — ręki mu nie podał. Zbliżył się też doń Skalski, prymus, i zawiadomił sztywno, że ma się stawić na sąd koleżeński.

Pietrasiewicz kiwnął na to głową obojętnie. Mruknął jeszcze z właściwym mu uporem:

— A przecie Mickiewiczowi korona z głowy nie spadnie od mojego gadania.

Skalski odrzekł krótko i sucho, jak zawsze:

— Nie chodzi o koronę, tylko o narodowy honor.

Pietrasiewicz i sam wiedział już o tem dobrze, tylko był uparty, jak koń. Nie mówili zresztą ze sobą nic więcej, bo właśnie wszedł do klasy Fiodor Iwanycz.

Nauczyciel był dzisiaj świetnie wyspany i o znacznie łagodniejszym na świat poglądzie. Przyglądał się klasie z nad okularów mniej srogiem okiem. Zdziwiło go tylko, czemu Pietrasiewicz idzie doń do katedry sam, niewołany.

— Czego chcesz, *gałubczik?* — spytał.

Pietrasiewicz wyprostował się nieco i wypalił głośno, jak lekcję:

— Chcę powiedzieć, Fiodor Iwanycz, że Mickiewicz żadnym zdrajcą nie był!

PAŃSKIE ŁZY

Ruszyli wreszcie z tej Warszawy ostatniego dnia kwietnia *a. D.* 1669-go.

Wyjeżdżał nie byle kto. Wyjeżdżał *Ioannes Casimirus rex.* Opuszczał stolicę, i panowanie, i kraj — *Serenissimus Rex Poloniae, Magnus Dux Lithuaniae, Russiae, Prussiae, Masoviae, Samogitiae etc. etc.* Co po naszemu: Najjaśniejszy Król polski, Wielki Książę litewski, ruski, pruski, mazowiecki, żmudzki, inflancki, smoleński, czernihowski i jaki jeszcze kto chce. Niedość na tem. Jechał w świat — *Suecorum, Gothorum, Vandalorumque haereditarius rex.* Jechał Szwedów, Gotów i Wandalów dziedziczny pan. Który to tytuł w traktatach oliwskich przyznano mu dożywotnio.

I jechał w świat, na Zachód. Po dobrowolnej abdykacji.

Od samego początku niebardzo dobrze szła mu ta jazda. Jeszcze rankiem w pałacu ogrodowym przyjął prędko żegnalne wizyty dygnitarzy, a potem każdego, co się zgłosił, precz odprawiać kazał. Nikogo z tego narodu widzieć już nie chciał: nie miał w te łzy wiary. A do tego — ani wiedzieć, kto się zgłosić może? Nuż z jakim obligiem, o pieniądze? Zapłaciłby, zawsze chciał płacić, ale cóż, kiedy nie miał czem. Poprostu — nie miał. Nigdy nie miał, bo mu to królestwo zawsze grosza skąpiło, jak kutwa. Chyłkiem tedy, przez ogród, udał się do Denhoffów i z nimi ostatni obiad spożył. Mocny Boże! Westchnienia tam jedli, nie potrawy, a popijali łzami! Kasia Denhoffowa płakała bardzo, i z serca. To uważał.

Zaczem po obiedzie siadł do kolasy podróżnej, i jechali. Siadł z nim przyjaciel Kos, starosta ostrołęcki, i Chrapowicki młody. Za nimi, w drugiej kolasie, ksiądz Otrębosz, spowiednik, *secretarius*, a i chudego mieszka pańskiego dzierżyciel. Zre-

sztą służba, no i gwardji paruset ludzi, że to Majestat jedzie. Polski i szwedzki Król.

Zaraz też na Krakowskiem Przedmieściu jęły się z za każdego węgła wysuwać karoce dygnitarskie i z królewskim ciągiem się łączyć. Panowie Rada i z reszty senatorów co starsi. Należało Miłościwego Pana przeprowadzić, że to dwadzieścia lat nacją rządził. Trza było mu to jeszcze zrobić. Dla samej choćby decencji, dla Boskiego Pomazania.

Alećlepiejby mu było, gdyby owych ostentacyj i honoru poniechali! Na miły Bóg — lepiej! Bo ledwie na skraju Przedmieścia wjechali między kiepskie dworki i chałupy, jął się z nich sypać na drogę ludek drobniejszy, lichota, i do Pańskiej kolasy się cisnąć. Niby to żegnać Pana wylegli, niby przy rozstaniu łzy leli, a każdy tylko swojej krwawicy płakał. Szewcy, krawcy, rzemieślnicy, służba stajenna, kuchty i kapela, bo był im dwór wieloletnich zasług nie opłacił. Nie dziw tedy, że gorzkie były nieco te łzy i gorzkie żegnania! Nie

dziwił się i Jan Kazimierz. Wyprostował się tylko na siedzeniu, a muszka na wysuniętej brodzie jęła mu wgórę i wdół biegać z wielkiej alteracji. Że to wstyd mu było i bolał nad tym ludkiem z serca, a poradzić nic nie mógł. Nawet ich do księdza Otrębosza nie odsyłał, bo nie było poco.

Dopieroż felczer jeden, stary sługa, którego znał dobrze, krzykiem wielkim w uszy Pańskie uderzył:

— Nie godzi się to, Miłościwy Panie, oj, nie godzi z krzywdą ludzką precz jechać! Zegarmistrzowi zapłacili, bo Niemiec, a mnie ani szeląga! A przeciem i na wojnach żołnierza opatrywał, a i przy dworze nie rok w śmierdzących ranach grzebał! Jednegom to dworzana z paskudnej choroby uleczył?! Krzywdę moich dziatek ze sobą bierzesz, Miłościwy Panie!!

Zasromał się *Rex Serenissimus* srodze i aże oblicze rękami przysłonił. Poczem wychylił się z kolasy do onego felczera:

— A toć zasług ci nie odmawiamy, człecze poczciwy! Ale ze skóry sobie nie wytniemy na opłacenie wszystkich! Skąd brać? Żeby nam ta Rzeczpospolita opatrzenie dała, jak powinna, niktby od nas ze łzami nie odchodził!

Chciał jeszcze Chrapowicki gwardją tego felczera imać, ale mu pan zabronił. Niechta!

Wstyd miotał nim srogi, a i gniew na owych dygnitarzy, co za nim w karocach jechali. Nie mógł to który na felczera palcem skinąć i zapłacić? Albo nie mogli to całego wyjazdu urządzić, jak należało? Żeby mu się lud do rąk po drodze nie czepiał? Aleć im co? Co dla nich Majestat, choćby i całej Rzeczypospolitej?! O siebie tylko dbają, a on nic już do rozdania nie ma. Przeprowadzić go wyjechali, pewnie! Boć nic to nie kosztuje! Żeby choć ostali już prędzej!

Ostali też bardzo niedługo, zaraz poza stolicą. Widać, że naprawdę przewody te czynili dla samej decencji. A i deszczyk

spadł cieplutki, jak to na wiosnę. Szkody się zlękli i w uprzęży paradnej, i w hajduczej liberji. Raz po raz jęła się karoca za karocą odrywać od ciągu i nazad ku miastu pomykać szybko. W parę pacierzy Pan sam ostał. Z przyjaciółmi tylko, z gwardją i ze służbą. A tu otwarły się właśnie upusty niebieskie, huknął grom i runęła ulewa, jakby ktoś w górze beczki ogromne tulał i wodę z nich na ziem spuszczał.

Jechał Jan Kazimierz w milczeniu i niewesół. Wraz z wilgocią powietrza i wonią zielonej runi ozwała się w królu zadyszka, na którą od lat-lat cierpiał, i gęby zawrzeć nie dała ani na chwilkę, choć nie odzywał się do przyjaciół wcale. Dech to wychodził zeń z graniem, świstem i udręką wielką. A wraz przypomniała się i podagra. Jęło kręcić w nodze jakby świdrem i kąsać jak pies. Niemłody bo był król, nie! Na szósty krzyżyk dobrze mu przewaliło, a i choróbska czepiały go się rade. Najgorzej ta przeklęta podagra! Po dwu go-

dzinach gwałtu krzyczał, choć król. Ledwie rady dali buta ściągnąć, bo noga spuchła już jak bania. W sukno ją owinęli ciepłe i na siedzeniu złożyli. Jęczał teraz, jak małe dzieciątko, i o byle co w złość wpadał. Dziesięciu ludzi pchnął zpowrotem do Warszawy po medyka Brauna, co się był z wyjazdem zamieszkał. Klął Niemca w żywy kamień i za łeb go z betów ściągnąć kazał. Na nocleg wynieść go musieli z kolasy na rękach i zaraz łoże słać wygodne. Dwa dni tam leżał, nim w dalszą drogę mógł ruszyć.

Niedobrze się królowi ta podróż zaczęła. Ale na trzeci dzień wzeszło pogodne słońce, a z niem i lepsza nadzieja w serce. Zaraz i noga przestała rwać, i dało się jechać dalej. To też i król zaraz lepszy po sobie pokazał humor, jako że zawsze weselił się rad bardzo i lekkiego był ducha: byleby noga nie dokuczała, mieszek był nie nadto już pusty i majestat w jakiem-takiem zachowaniu. Jechał sobie tedy w cieple majowem, gadając ze starostą Kosem, a je-

chał powolutku, bo i nie miał poco się śpieszyć. Jechał z tego swojego królestwa, którego się z dobrej woli wyrzekł, na Śląsk i Wiedeń, przez ziemie cesarskie, ku Francji, gdzie mu Ludwik XIV w opactwach piękne opatrzenie dawał. Jechał tedy znowu duchowną suknię przywdziać. Niebardzo mu się do tej sukni śpieszyło. A po prawdzie mówiąc, to i bał się trochę, jak go tam, na Zachodzie, przyjmą. Został mu i po abdykacji ów podwójny tytuł królewski, ale rozumiał przecie, „żeć nic po tytule, kiedy pustka w szkatule“. Bał się trochę. Bał się, żeby i tam, na Zachodzie, nie sponiewierano w jego osobie wielkiej krwi Wazów, jako ta Rzeczpospolita czyniła długie lat dziesiątki. Na to był czuły. Na samą myśl krew oblewała jagody i prawicą rękojeść rapiru głaskał.

Choć przy tem słońcu i ciepełku Bożem lepszej — jako się rzekło — był myśli. Żeby jeszcze więcej sobie serca dodać, przegadywał o tem i z powiernikiem Kosem. Pan starosta Kos, też już w wieku i do-

syć grubaśny, niewielkiej był głowy mąż, ale niezmiennie dobrej nadziei. Przywykł od śmierci królowej zabawy z Panem dzielić i zmartwienia. Spodziewał się też z tego dla siebie jakiegoś profitu.

— Słuchaj, Kos — mówił Pan. — A jakże myślisz, że nas we Wrocławiu przyjmować będą?

Starosta przedmuchał wąsiska, jako zwykł był czynić, nim co odrzekł.

— Dobrze przyjmą — powiedział. — Z paradą. We dzwony uderzą, biskup przed nas wyjedzie... Jakbym to już widział. A toć, Miłościwy Panie, Najjaśniejszy Cesarz wujem się wam przychodzi! Od św. pamięci matki waszej, królowej Konstancji, urodzonej arcyksiężny.

— Prawda to! Prawda! — westchnął król. — Niemasz tych w Europie monarchów, z którymibyśmy jednej krwie nie byli.

— Też to mówią właśnie...

— Ale z innej strony — uważ Kos! — któżby ubogiemu krewniakowi rad był? Ce-

sarz jeszcze prędzej, że to i wuj, a i w wojsku cesarskiem sługiwaliśmy zamłodu. Ale kuzyn Ludwik francuski dumny bardzo. Zaraz po abdykacji biskup de Bonzy[1]) całą estymę dla nas stracił, a i opat Courtois wymykał się nam, jak liszka. Gadać już z nami o sprawach nie chcieli...

— Insza rzecz sprawy, insza znów gościna — rzecze starosta z powagą. — Francuski Ludwik wielkiego serca król i krwi królewskiej nie spostponuje. Będzie nam, Miłościwy Panie, w tej Francji, jak za piecem. Bogaty to, słychać, kraj! Kłopotu, Panie, zbędziecie, pieniądz gotowy na stół wam sypać będą, sejm już do oczu nie skoczy, a i Francuzki ponoć grzeczne bardzo!

Wiedział stary wyga, czem najłacniej Panu do serca trafić. Nie rzekł *Ioannes Casimirus* nic, ale zaraz podciętego po kawalersku wąsika białą rączką poprawiał długo. Łasy bo był na słabą płeć, jak kocur właśnie.

---

[1]) Ówczesny poseł francuski w Polsce.

Tak to jechali. Od owego dżdżu, co ich z Warszawy przeprowadził, ustaliła się pogoda napodziw i dwie niedziele trzymała na sucho. Nawet i zimni majowi święci ogrzali się tego roku, jak nigdy. Ano, żegnał kraj Pana słonkiem! Już ci Jan Kazimierz i dychał wolniej, i o darciu w nogach przepomniał na amen. Wesół był. Drogi podeschły pięknie, a wszędy, jak okiem rzucić, sady i ruń zielona a kwietna. Konie poparskiwały raz wraz, a żołnierz śpiewał za kolasą z własnej radości i Pańskiego nakazu, że to Pan Miłościwy kochał się w rycerstwie. Choć i nie śpiesząc, dojeżdżali już przecie do Pińczowa, gdzie na ostatni przed Krakowem popas mieli stanąć. A w Krakowie same ich czekały uciechy, boć nie miał król w tej Rzeczypospolitej stalszego przyjaciela nad księcia biskupa Trębickiego.

To też wesół był Jan Kazimierz tego dnia bardzo. Do obiadu musieli mu natoczyć dzban francuskiego, lekkiego wina, a gdy do kolasy siadali, znów gąsior zło-

tego tokaju w nogi wstawić kazał. Aż się Braun, medyk, za łeb chwytał... Ale nic to! Czuł się Jan Kazimierz, jakby mu druga młodość w kości weszła. Chrapowickiego młodego do gwardji przegnał i, sam na sam z Kosem, puharki srebrne w dłoni dzierżąc, śmiali się jeden do drugiego, o białogłowach pogadując.

— Takeś mi to, waszmość, mości starosto, one Francuzki sławił, że mi dziw — mówił król. — Znałżeś też którą?

— Żebym, po prawdzie rzekłszy, którą znał, jako to w Piśmie stoi, to nie. Alem widywał przecie na dworze. Gładkie, szelmy, bardzo. Łaszą się jako kocice. Co temi ślepkami na człeka spojrzy, to aże mrowie po krzyżach chodzi! Choćby i pani marszałkowa koronna...

— Sobieska? Szczwane babsko, jak liszka! Ho, ho!... Jednej chyba mojej nieboszczce para!

— Była też we fraucymerze jedna, za króla Władysława jeszcze... Palce lizać! Młodziak, chucherko, nicpotem, w jedną

garść się to zmieści, a też oczyskami waliła przecie w chłopa, jak z armat! Sam byłem młody, tom już pięść zaciskał, patrząc! Ale wyjechała prędko... Nawetem dziś i nazwiska przepomniał...

Król aż się na siedzeniu ruszył z ciekawości.

— Drobna taka? Cienka? Płowa?

— To, to!...

— Duvet! Wiem. Panna Duvet! Aleś się starosta wybrał z amorami! Właśnie! Toć nikt inny, tylko ja sam *kurę* jej robiłem, jako królewicz. Ledwie ognie ze mnie nie szły! Nie dziw, że waści w oko wpadła, kiedym ja z samych wzdychań sypiać nie mógł!

Starosta Kos przedmuchał wąsiska i do samego Pańskiego ucha się uniósł.

— Było też co?

— Nie było — westchnął król. — Nie było. Jużem na kolana stawał, jużem z nią na kraj świata chciał jechać... Ale się bratowa Ludwiczka postrzegła zaraz.

Szast-prast i niema panny. Wysłała do Francji. A szkoda wielka...

— Pewnie, że szkoda — przyznał starosta. — Chocia tego towaru wam, Miłościwy Panie, nie brakło. Z wszelkiej nacji... I królowa Ludwika, świeć jej Panie, nie ustrzegła. Jako ten kur Wasza Królewska Mość wkoło niewiast chodziłeś. Taka Guldenstern, taka Schoenhof — jak łanie!

— Dawne dzieje! — machnął król ręką ze śmiechem. — Tyle waszmości powiem, że niemasz nad nasze Polki! Wszelka insza nacja bardziej mieszka patrzy, jak serca. A Polce byle górnie gadać, wzdychać, a w niebo patrzeć, to i alkowa naoścież!

— Oj, prawda, prawda! Tocieśmy zawsze: jak mieszek pusty — to i do Polek! Nawet stanu nie *discernując*, nie!

Śmiali się w głos obaj i znów do puharków zajrzeli. Już słońce szło ku zachodowi, już i Pińczów jak na dłoni się ukazywał, a oni gadali i gadali. Już wskok przeleciał Chrapowicki młody, jako to sta-

nowniczy, nocleg Panu w mieście gotować. Minęły ich też wozy ładowne z kobiercami i wszelakim sprzętem, by zaś gospodę oporządzić na królewskie przyjęcie. Konie przy kolasie szarpnęły mocno, owies w bliskości czując, ale je właśnie woźnica wstrzymał i stępa puścił, aby tamtym czas na porządki zostawić. Jechali tedy noga za nogą, wolniutko, a przepijali niezgorzej, że to starosta Kos nie chciał ani kropli zacnego trunku służbie ostawić. To też pyski sczerwieniały mu bardzo, a oko jarzyło się złotym błyskiem, jak karpiowi. Król mniej pił, tylko starościńskich facecyj słuchał i śmiał się. Dobrze mu było.

Dopiero przy pierwszych domach ujrzeli znowu Chrapowickiego, jak ku nim w ulicy sadził. Zdarł konia przy kolasie, że tańczyć począł, a sam zmieszany był okrutnie.

— Miłościwy Panie! — mówił. — Szlachcic pewien gospodę zajął i nie ustępuje.

— Jakże nie ustępuje? Co waść gadasz?! — wrzasnął król.

A już wtrącił się i pan starosta Kos:

— I któż to? — pytał. — Pan jaki?

— Z mniejszych mi się widzi panów. Szlachcic zwyczajny. Choć czeladzi przy nim dużo...

— A mówiłeś też, waszmość, kto jedzie?

— A mówiłem, że Miłościwy Pan. To rozsierdził się tylko. „Niema dziś żadnego króla w tej Rzeczypospolitej“ — wrzeszczy. „Jeszcze nie po elekcji! Takim ja dobry, jak i *Ioannes Casimirus!* Nie ustąpię!“

Jan Kazimierz aż się ręką po kolanie trzasnął z gniewu, jako że *irritabilis* był bardzo.

— Głupiś asan! — rzekł Chrapowickiemu ostro. — Gwardję z porucznikiem bierz i wyrzuć błazna!

Zaraz też ruszyła mimo kolasy gwardja, ale już królowi cała wesołość odeszła. Ze złością resztkę wina na ziem chlusnął i puharek na dno karocy cisnął. Zamilkł. Milczał też i pan starosta. Wiedział, że nie trzeba się Panu przeciwić, jak zły, a i cza-

su nie było już na gadanie. Bo choć jechali teraz noga za nogą, do rynku przecie niedalej było, jak kamień rzucić. A rozruch, widać, panował tam wielki. Tupot koński słychać było, kwiki, pokrzykiwania, klątwy i śmiech żołnierski. A nad wszystko wynosił się czyjś głos piskliwy, ostry i uprzykrzony:

— Mnie wyrzucać?! Szlachcicowi taki despekt!? I dla kogóż to?! Dla króla-niekróla, co wszystkie plagi egipskie na naród ściągnął?! Co Szwedów na Rzeczpospolitą prowadził, Brandenburczyków, Kozaczyznę, Tatarów?!... Król to?! Co gdzie nogą stąpnie, to za nim głód i zaraza?! Co się nas teraz z dobrej woli wyrzekł i Francuza na nas podmawiać jedzie?!

— Spił się, musi, szlachcic i hałasuje — mruknął pan starosta ostrożnie.

Ale jak na króla spojrzał, wraz gębę i zawarł. Siedział teraz Jan Kazimierz prościusieńko, a lica, mimo wypitego wina, blade miał jak wosk. Brwi namarszczył, muszka na dolnej szczęce latała tam i sam,

a dychał znowu ciężko. Na ową starościńską zaczepkę nie rzekł nic. Nasłuchiwał. Pilnie słuchał. A już dojeżdżali do węgła.

— Milcz, waszmość, bo się do korda wezmę! — krzyczał teraz Chrapowicki.

— Sam waść milcz, kiedyś dzieciuch! — darł się szlachcic. — A kobierców mi w proch nie rzucać, psiekrwie, bo moje własne!! Ja nie jak wasz Pan, co Wawel z narodowych kobierców obdarł i gdańskim Niemcom dał w zastaw! U mnie wszystko własne!!

A już Chrapowicki kolasę królewską dojrzał i poczerwieniał ze zmieszania, jak to młody.

— Milcz, asan!! — ryknął — bo Pan Miłościwy tuż!!

Teraz właśnie jął szlachcic tupać nogami o stopnie gospody, a drzeć się jeszcze mocniej:

— Asana to Pan, a nie mój!! Ja takiemu Panu nie służę, co koronę moskiewską narodowi zabrał!! Co z niej kamienie wydłubał i dziewki w nie stroił!! Dla mnie

Ioannes Casimirus żaden Pan!! Mąciwoda — nie król!! Rózga Boża!

Wjechali na rynek. Już im się i aspekt cały odsłonił. Żołnierze wyrzucali przez okna gospody sprzęt szlachcicowy, wypędzone konie łapano po całym rynku, gwardja stała murem i w cichości, a z boków wszystko, co żyło w mieście, gawiedź cała, żydki i drobny ludek mieszczański. Ci *theatrum* sobie z tego czynili. Na stopniach gospody jakiś szlachetka, w wieku już, rudawy i szczupły, aże trząsł się z wielkiej pasji. Ale na widok królewski zamilkł przecie.

Bo *Ioannes Casimirus,* mimo obolałych nóg, wylazł z pojazdu śpiesznie, jak młodzik. Nim mu starosta pomóc zdążył. Zeszedłszy, piórem u kapelusza potrząsnął gniewnie, a lewicą po rękojeści rapiru trzasnął, że zaraz tył kaftana poskoczył ku górze pięknie, jak koguci ogon. Kawalerski był Pan. Bokiem do szlachcica zwrócony, prawą go tylko ręką gwardji wskazał.

— Na co czekasz?! — rzekł porucznikowi srogo. — Wsypać błaznowi dwa-

dziećcia odlewanych na własnym kobiercu! Bierz go tu sam!!

Zaraz też ruszyła gwardja, a szlachcic drzeć się począł w strachu, jak zarzynane prosię.

— Nie pozwalam! — kwiczał. — Tociem szlachcic! Nie pozwalam!! — Waluś! Maciek! nie daj pana, psiakrew! Bij, kto w Boga wierzy! Bij!!

Ale gdzie czeladzi przeciw wojsku obstać! Udawali tylko, że się do bitki prą, a każdy własnej skóry pilnował dobrze. W mig też leżał szlachcic rozciągnięty na kobiercu i bizuny żołnierskie brał, jak się patrzy. Zatknęło go, musi, ze zdumienia i bólu, bo zrzadka tylko pod batem pokrzykiwał wysilonym głosem:

— Rany Boga!! Nie pozwalam!... Gwałt!... Do grodu!... Nie pozwalam!!

Ale już Jan Kazimierz na to widowisko nie patrzył, tylko z majestatem wielkim środkiem rozstępującego się ludu do gospody kroczył, mocno o kamienie obcasami tłukąc. Po rycersku. Za nim starosta Kos.

Aliści zaraz za progiem i zamkniętemi drzwiami był tej królewskiej paradzie koniec. Ledwie do pierwszej izby wszedłszy, siadł król na ławie ciężko i głowę ku piersiom zwiesił. Znowu wychodził zeń dech z charkotem, sapaniem i świstem. Szeroki kraj kapelusza do pół lic mu się osunął, a pióro strusie kiwało się od tego dychania, jak na wietrze. Otwartą krągło gębą łapczywie powietrze chwytał, jak ryba w garści. Widział się bardzo stary. O gołą ścianę wsparty, w kabłąk zgiął się całuśki, a nogi wysunął przed się daleko i sztywno. Dychał. Nie wiedzieć, czy myślał co, czy rozumiał, co się wkoło dzieje. Nie wiedzieć, czy słyszał owe rozpaczliwe jęki bitego szlachcica:

— Puśćcie na Boga!! Dość!... Bo zamrę!...

Nie wiedzieć, czy widział pana starostę Kosa, jak nań spozierał ze strachem i konsternacją wielką. Przez jakieś drzwi wytknął ostrożnie długą, siwą brodę żyd-gospodarz. Garbatym nosem powęszył

chwilę, poświdrował mysiemi oczkami i ruszył wreszcie w izbę na parę od drzwi kroków. A kłaniał się raz po raz i w pas, i do ziemi. Kaszlnął nawet cichutko. Ale nie dojrzał go król, ani nie słyszał tego kasłania. Tylko pan starosta Kos huknął niegromko, a w złości:

— Precz, żydzie!

Dopiero gdy ludzie sprzęt jęli nieść i kobierce, alkowę na spoczynek Pański gotując, uniósł król nieco głowy i siadł prościej. Kapelusz z głowy zdjął i na ławie złożył. Może i swobodniej już dychał, ale przy ciemnej peruce oblicze widziało się ciągle szare, docna udręczone i srogie. Ludzie chodzili wkoło na palcach, jak przy trupie, a uwijali się ostro, bo Chrapowicki szeptem, a i pięścią do pośpiechu ich naglił. Wyszykowali też alkówkę w pacierz. Znalazł się i ksiądz Otrębosz. Wiedział już, musi, o wszystkiem, bo nachylił się nad królem, jak nad dzieckiem, i ręką go pod ramię ujął.

— Pójdźcie, Miłościwy Panie, w alkówce na kobiercach spocząć — prosił.

Już go i pan starosta pod drugie chciał ująć ramię, ale odtrącił ich gniewnie i o własnej sile poszedł. Tu, w alkówce, drzwi zaprzeć kazał i siadł znowu, i siedział długi czas ponuro. Oni też stali nad nim ze zwieszonemi łbami, milcząc.

Aż rzekł Pan:

— Powiedz nam, Kos, na Boga! co też ten naród sobie do nas upatrzył?!

— Spił się szlachcic - jucha i baje! — mruknął starosta.

— Wiem, kto zacz, Miłościwy Panie — ozwał się i kanonik — Pisarski z Krakowskiego.

— Pisarski? — nadstawił starosta ucha. — Nie słyszałem... *Homo novus* pewnie.

— Dwa lata suplikacje do królewskiej kancelarji pisał — mówił ksiądz. — On pisał, a jam darł i w ogień ciskał. O niepodobne rzeczy prosił.

— Też to właśnie! *Homo novus* — westchnął Kos. — Wiadomo, tacy najgorsi.

Ale już król obu rękami na nich machał.

— Nie to! nie to! — mówił prędko. — Nie o Pisarskiego nam idzie, tylko o ten naród polski! Toć jakeśmy niedawno dla ślubu spełnienia do Sokala ruszyli, Najświętszej Pannie się pokłonić, to urzędnicy ziemscy chowali się przed nami w dobrach, jak krety. Umykali w obie strony, jak przed zarazą, miasto cześć Majestatowi okazać. Żołnierzy nam po grodach o byle co więziono, jak zbójów, dla naszego despektu tylko. Do karczem woleliśmy zajeżdżać, jak do dworów, bośmy nigdy pewni nie byli, jak nas posesor przyjąć raczy. Żali nie zeklnie wprost, jak pewna szlachcianka przed laty, a choćby i ten Pisarski. O to nam idzie. To nam, waszmościowie, powiedzcie: co ten naród sobie do naszej osoby upatrzył?!

Obaj znowu zwiesili łby, milcząc, jako że niełacno szła na to z języka odpowiedź. Pan niebardzo też odpowiedzi czekał.

— Czegóż chcą od nas? pytamy — gadał król coraz goręcej. — Toć sami nas z wolnej niby elekcji przeciwko bratu Ka-

rolowi obrali! Tocieśmy z ich własnej krwi królewskiej przez Jagiellonkę. Toć ojciec nasz do splendoru tej korony splendor korony szwedzkiej przyniósł, a bratu Władysławowi jeszcze i moskiewską na głowę kładli. Że *calamitates* za naszego panowania na naród spadły, jako ten szlachcic szczekał?! Klęski?! Pewnie — ale kto ich winien?! Nas to, nasze to wojska pod Pilawcami chłopi na spisach roznieśli, czy pospolite ruszenie?! Czy nam to kto tchórza zadać może?! Nam, cośmy już w pierwszej młodości pod Gallasem i Coloredą stawali mężnie? A i pod Beresteczkiem, choć nas tam, jako Majestat, za obie strzymywali ręce. Myśmy ich klęsk winni?! Ich klęsk, kiedy po dziś dzień samą prawie jazdą wojują, jak Tatarzy! Kiedy sztuki wojennej nie znają i znać nie chcą! Kiedy na piechotę i armatę łacniej z kamienia sok, niźli z ich mieszka pieniądz wycisnąć można! Mybyśmy ich do zwycięstw nie wiedli? Aby jeno zwyciężać umieli! Miast zwycięstw, w najcięższej opresji własnego Pana

opuszczą raczej. Jakże to ze Szwedami było? Chodziłby to *Carolus Gustavus* dwa lata po tej ziemi, żeby *fidelitas* była?! My to, mówi ten szlachcic, Szweda naprowadziliśmy! A Radziejowski gdzie? A Radziwiłły?! Niemasz w tym narodzie wierności. Każdy o swoje tylko stoi i Panu tylko w oczy patrzy, czy czego się urwać nie da. Nie mieliśmy do rozdania nic, bo już Jagiellonowie rozdali. Stąd to ich gniewy! Tu im krzywda!

Pan starosta Kos przy ostatnich słowach pańskich chrząknął, a i żachnął się nieco, jakby to do niego pito właśnie.

— Rozumiem, że najwięcej tu o królowę nieboszczkę idzie... O promocję księcia Kondeusza na króla... O elekcję... — gadał nieśmiele.

Panu zaraz kolory wróciły na lica, a rapirem gniewnie o podłogę stuknął.

— Co nam tam, waszmość, duby smalone bajesz! O elekcję!... Cóż ta elekcja wasza?! Pieniędzy zewsząd nabrać, każdego zdradzić, spić się, nahałasować, a na sa-

mej Woli, to jakby kto w kości rzucał — szczęśliwszy wyjdzie, byleby się hołota do korda brała. Pewnie, żeśmy Kondeusza wam promowali! Rycerski to pan, z rycerskiego ojca. I krew wielka, a i człek, słychać, twardy. Zęby połamalibyście sobie na tym Panu, jako i na królu Stefanie. W sam raz dla was właśnie. Tenby wam dopiero Majestatem w oczy świecił, jako i Ludwik francuski!

— Przy wolności szlachta murem stoi — rzekł ksiądz. — *Absolutum dominium*...

— *Absolutum dominium* właśnie! Nic innego! — przerwał król. — Niemasz dla tego narodu inszej rady. Rozumiał to król Stefan dobrze, rozumiał ojciec, rozumiał i brat Władysław. Żeby nikt łba nie śmiał wystawić ze strachu, że mu go, jak Zborowskiemu, zetną! Boć jakże inaczej nad wami rządy sprawiać?! Każdy szlachcic sobie pan, każdy błazen — elektor. Każdy panek pomimo królewskiej kancelarji konszachty z sąsiadami wiedzie, jak monarcha. Któryż tu sejm gładko przechodzi? A jeśli

przejdzie, to jakież subsydja uchwali? Takie, że na otarcie sierocych łez ani zatkania żołnierskich gardzieli nie starczy! A senat o kogo pieczę ma? O Rzeczpospolitą, czyli o senatorów tylko? Jakże inaczej wami rządzić?! Toć jeśli król z lic się komu nie uda, albo wyciągniętej garści w czas nie napełni — to i rokosz gotowy. Bij-że się z nimi potem! Jako i z Lubomirskim. Nie może to dłużej być, na Boga! Nie może to dłużej być! Bo upadnie ten naród! Już i tak pośmiewisko z siebie inszym czyni! Tak wam to dziś, po dwudziestu latach panowania, z serca mówimy: żelaznej pięści na ten naród trzeba! Pychę mu trzeba ze łba wybić!

Zasapał się król i znowu głowę ku ziem zwiesił.

— Rózga Boża! — mruczał pocichu. — My niby rózga Boża na nich!

A starosta i kanonik milczeli oba. Nie w smak im, widać, Pańska przemowa poszła. Nie śmieli wobec Majestatu usiąść, a nogi zastały się im bardzo, że to obaj

byli w wieku. Król zaś zapamiętał się znowu. Wreszcie starosta, brzęku naczynia w izbie nasłuchując, przedmuchał wąsiska z szumem:

— Wieczerza, Miłościwy Panie. Jakiegoż kazać utoczyć wina?

Król ani głowy nie uniósł.

— Nie będziemy wieczerzać — rzekł. — Modlić się będziemy. Przyjdziesz ksiądz do nas, jak klaśniemy.

Skoro wyszli, uniósł się z ławy powoli, o ścianę się dłonią wspierając; zaczem rapira odpasywał długo. Zmęczył się. Znowu dłoń do piersi przyłożył i serca słuchał. „Stary jestem, stary“ — myślał król. Parę kroków jeszcze po alkówce zrobił, a oczyma szukał czegoś. Obrazka bł. Jana z Dukli, do którego od młodości szczególne miał nabożeństwo. Znalazł. Wtedy poduszki dwie z ławy poprzed obraz cisnął i ukląkł na nich ze stękaniem i ostrożnością wielką. Czoło na białych dłoniach złożył, a puklami peruki całe oblicze nakrył. Trwał tak długo.

Gdy znowu głowy uniósł, lica miał mokrzusieńkie, a głęboką koło nosa bruzdą spływały łzy aż na barwiony wąs. Grube i ciężkie łzy.

— Miłosierny Boże! — szeptał król zwiędłemi usty. — Panie, miłosierny Boże! Otom ja, król, jak proch i robak ziemny przed Tobą. Znasz moją duszę, Panie, a i ja znam swoje przed Tobą winy. Wiem, za co karzesz, Panie! Za lekkość duszy mojej, za to, żem Ci słowa mojego nigdy dotrzymać nie umiał. Ale zważ, Panie, że i sobie go nigdy dotrzymać nie mogłem. Słabego mnie stworzyłeś, jak dziecko. Tedy nie wedle win moich, ale wedle łaski Twojej niech mi się stanie, Boże! Podobało Ci się dzisiaj kielich żółci mi podać. Oto wychylam go duszkiem, jak miód, za moje przed Tobą, Panie, grzechy. Odpuszczam wrogom moim i całemu temu narodowi, jakoś kazał, Panie. A ty, bł. Janie z Dukli, orędowniku mój szczególniejszy, świadcz czystość serca mego przed Panem i wstaw się wraz ze mną za tym moim

narodem niewdzięcznym, co mnie dziś rózgą Pańską nazwał. Bo Ty wiesz, Boże wielki, że do zguby ten naród idzie. Zezwól tedy, Panie, bym ja, Twój pomazaniec, choć cząstkę jego win na swoją starą przyjął głowę. Dla mojej skruchy zechciej doli ich ulżyć, Panie! Nie karz ich za mnie, miłosierny Boże!...

Tak to w żydowskim zajeździe w Pińczowie gorzkiemi łzami płakał przed Panem król Jan Kazimierz. *Serenissimus Rex Poloniae, Magnus Dux Lithuaniae, Russiae, Prussiae, Masoviae, Samogitiae etc. etc.* — Starzec i nędzarz. — *Suecorum, Gothorum, Vandalorumque haereditarius Rex.*

---

narodem niewdzięcznym, co może dziś po-
gan i Polska nazwać. Bo Ty wiesz, Boże
wszystkie do zguby ten naród idzie. Że
zwróć lody, Panie, bym ja, Twój pątnik,
[illegible] jego [illegible] swoje [illegible]
przyjął gorąco. [illegible] strzały [illegible]
dół dotknąwszy, Panie! Nie karz ich za moje,
[illegible]

[illegible] w [illegible] w Py-
rowie gwałtowności [illegible] przed Panem
[illegible] Sprawiedliwość [illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]

NA STANCJI

Na stancji u profesora w Kielcach panuje dziś wyjątkowa cisza, jak to przy sobocie. Wszyscy „panowie“ z wyższych klas albo rozjechali się do domów, albo wyszli na miasto. W dużym pokoju „szkolnym“ zostało tylko trzech chłopców: Wróblewski z trzeciej klasy, Turowicz z drugiej i Cześ z pierwszej.

Turowicz i Cześ siedzą przy zaplamionym atramentem stole i odrabiają zadania na poniedziałek. Turowicz, z książką w ręku, kiwa się na krześle i mruczy coś pod nosem, przeżuwając jednocześnie ogromne kawały chałki, które wyjmuje z podartej kieszeni. Tak czyni ciągle, przez cały Boży dzień. Zawsze je. Taki już jest, taki ma charakter.

Cześ, mały i pucułowaty, przepisuje do małego zeszycika słówka łacińskie, ale mu to jakoś niesporo idzie. Nawet sobie językiem pomaga, choć wie, że to paskudnie, a nie może się skupić. Co słówko wypisze, to staje i patrzy na poplamiony stół, jak krowa w płot. Myśli, że to jutro niedziela i czy aby mamusia przyjedzie z Ojcowa, czy nie? Od czasu do czasu przygląda się z pod oka „panu“ Wróblewskiemu.

Pan Wróblewski — bo tak się Czesiowi dla powagi każe tytułować, że to już drugi rok w trzeciej siedzi i ma czternaście lat — nie bierze się do zadań, bo nie ma czasu. Właśnie szykuje się do golenia. Przyniósł już sobie z pokoju pana Zdanowicza z ósmej mydło i pendzel i ostrzy teraz na pasku starą ojcowską brzytwę. Służąca Kasia nie chciała mu dać gorącej wody, więc pan Wróblewski będzie się golił zimną. A ogolić się musi, bo jutro po południu idzie do kina na przedstawienie dla młodzieży.

Cześ patrzy na te przygotowania okiem ironicznem. Nie mówi nic, bo z pana Wróblewskiego tęgi i do pięści skory dryblas, ale wie dobrze, że golić tam niema co. Że komuś z brodawki na górnej wardze rosną dwa blond włoski, toć to jeszcze nie wąsy. Możnaby i nożyczkami przystrzyc. Ale pan Wróblewski twierdzi, że to właśnie wąsy, i szoruje tępą brzytwą po gładziutkiej gębie, aż patrzeć przykro.

Turowicz sięgnął w tej chwili ręką do podartej kieszeni, nie znalazł nic i przerwał mruczenie. Kiwnąwszy się po raz ostatni, pochylił ku Czesiowi oblicze ciemne i srodze piegowate, za które zwano go w szkole „Żółtek“ i „Indycze jajo“.

— Te, mamin synek! Masz jabłka?

Cześ aż się oburzył na tę żarłoczność. Cóżto znowu! Sam zjadł mu, bestja, wszystko, co mama ostatnio przywiozła, i nie pamięta nawet! Mruknął ponuro.

— Nie mam.

Turowicz westchnął.

— Nigdy nic nie masz... I cóżto się dzisiaj dzieje? Kiedyż ta kolacja!

Tu wyjął z pychą prawdziwy zegarek z cyframi, które nawet w nocy świecą. Obchuchał go, przetarł szkiełko rękawem i rzekł wreszcie z powagą:

— Pół do ósmej.

Cześ nie odpowiedział mu ani słowa. Zamyślił się. Medytował smutnie, że już od półtora miesiąca siedzi na tej stancji, a nie może się przyzwyczaić. Pani profesorowa nawet dla Czesia bardzo dobra, zawsze mu nakłada dwie porcje leguminy, ale cóż z tego? U mamy w Ojcowie tysiąc razy lepiej. A w dodatku Cześ niecierpi, jak nazywają go „mamin synek".

Zaczęło się to tak. Cześ przyjechał na stancję w świątecznem ubranku, z niebieskim krawacikiem w groszki. Ledwie go pan Wróblewski zobaczył, zaraz pociągnął za koniec krawata i mówi:

— Te! Któż to ci krawat wiąże, szczeniaku?

— Mamusia.

— Patrzcie go! „Mamusia!“ Turowicz, słyszałeś? „Mamusia“. Mamin synek! Osioł!

I został już „maminym synkiem“. Nawet w szkole go tak nazywają. Cześ jest rozgoryczony. Bo przecież każdemu mamusia krawat wiąże! Żeby Cześ miał ojca, toby go zapytał, co ma z tym „maminym synkiem“ zrobić. Ale Czesia ojciec, lekarz, zmarł podczas wojny na tyfus, kiedy Cześ jeszcze koszulkę w zębach nosił. A mama pewno nie zrozumie. I tak ma zresztą dość kłopotów z tym pensjonatem w Ojcowie.

Nagle błysnęła Czesiowi myśl szczęśliwa. Już wie, co zrobi. Zapisze się do skautów. Poprosi matkę o mundur, będzie chodził na zielono, a jak mu kto przymówi, to mu da w łeb, bo wszyscy skauci są dzielni, więc i on będzie dzielny. Tak, Cześ zapisze się do skautów. Aż wesoło mu się na tę myśl zrobiło.

Tymczasem pan Wróblewski „ogolił“ właśnie pół twarzy i wzywa Czesia na świadectwo prawdzie:

— Mamin synek, chodźno! Gładko, zobacz, co?

Cześ wodzi dłonią po twarzy pana Wróblewskiego bez dużego przekonania:

— Było gładko i jest gładko.

Pan Wróblewski bardzo się na to rozgniewał:

— Jakto „było“ gładko? Co, ośle, gadasz! O, mamin synek! Masz na orzechy!

I zaraz przejechał paluchem po Czesiowej czuprynie od czoła do ciemienia, pod włos. Cześ aż syknął z bólu.

— Niech się pan nie bije! Bo...

— Bo co?!

— Nic.

Cześ kopnąłby chętnie prześladowcę, ale kara przyszła jakoś sama z siebie, i prędzej, niż się pan Wróblewski spodział. Bo oto w zapale i gniewie tak ostro wziął się do golenia, że ani się obejrzał, jak mu brzytwa ledwie pół ucha nie zgarnęła. Zaciął się setnie. Bluznęła krew. Pan Wróblewski zbladł na papier i skoczył do umywalki, wrzeszcząc na Czesia wielkim głosem:

— Mamin synek! Ałunu! Leć po ałun! Piorunem, bo mi krew ujdzie! A, jak boli!!

Cześ, również przerażony wypadkiem, pytał krótko:

— A gdzie ałun?

— U pana Staszewskiego na oknie! Widziałem. Leć, bój się Boga!

Ba! Łatwo powiedzieć — u pana Staszewskiego. Cała stancja boi się do tego pokoju chodzić, bo wszystkim wiadomo od Kasi, że w lecie umarł tam ojciec pana profesora. A teraz w dodatku jeszcze nikogo niema i ciemno. Cześ zdecydował się szybko.

— Nie pójdę. Tam straszy.

— Jakie straszy?! Leć w tej chwili!

— Nie pójdę. Niech pan sam idzie.

Pan Wróblewski znowu się rozgniewał.

— Jakże pójdę z tym ręcznikiem przy uchu?! Chyba, że we dwóch... Turowicz, pójdziesz?!

Turowicz kiwnął się na krzesełku z obojętnością.

— Ani mi się śni.

Pan Wróblewski rozgniewał się jeszcze mocniej.

— Tchórzu! Żółtek! Indycze jajo! Przecie mi krew ujdzie! Takie to u nas koleżeństwo! Mamin synek! Tchórz!

„Indycze jajo“ ani drgnął na to gadanie. Ale Czesiowi owo zadanie tchórza trafiło w samo serce. Bo i cóż z niego będzie za skaut, jeśli się lęka ciemnego pokoju? Albo-albo. Trzeba iść, niema rady. Trzeba iść.

— Dobrze. Żeby pan wiedział, że pójdę.

I zaraz też ruszył kłusa przez korytarz, byle prędzej. Otworzywszy drzwi od ciemnego pokoju, zmrużył powieki i patrzył tylko przez szparkę, żeby jak najmniej widzieć. Serce waliło mu jak młotem. Od jakiejś latarni padała tu na ścianę smuga mętnego światła; zupełnie jakby stał tam ktoś bardzo wysoki i przezroczysty. Cześ aż się wzdrygnął. Drżącemi palcami macał po oknie: szklanka, szczoteczka do zębów, pudełko, coś gładkiego i zimnego... Ałun?

Liznął dla pewności. Tak, ałun. Bogu dzięki. Odrazu wstąpił weń spokój. Szedł teraz wolno przez korytarz zpowrotem, zadowolony i dumny. Bał się, a zrobił swoje. Jak skaut. Jak prawdziwy skaut. Teraz już może sobie żartować z pana Wróblewskiego.

A panu Wróblewskiemu krew na uchu jęła właśnie zastygać. Zaraz też nabrał dawnego humoru.

— O, jest mamin synek z ałunem! Rychło w czas! Ciebie to tylko po śmierć posyłać. Dawaj!

Cześ oddał ałun, cofnął się za stół i rzekł do pana Wróblewskiego:

— A z pana to tęgi tchórz. I nie będę wcale pana nazywał panem, bo pan taki pan, jak i ja. Zwyczajny tchórz. Będę mówił „Wróbel“, jak wszyscy. O tak: Wróbel!

Turowicz aż przestał się kiwać ze zdumienia. Oniemiał i pan Wróblewski przy miednicy. A Cześ gadał dalej:

— A jak się, Wróbel, weźmiesz do bicia, to cisnę w ciebie lampą i narobię hałasu na cały dom. Żebyś wiedział!

Pan Wróblewski rzucił się ku niemu z wrzaskiem:

— To ty tak?!

— A tak.

Cześ skoczył na drugą stronę stołu i chwycił za naftową lampę naprawdę. Zastanowiło to pana Wróblewskiego. Sapał jeszcze chwilę, coś pod nosem mruczał ze złości, aż wzruszył wreszcie ramionami:

— Głupiec. Nic się na żartach nie rozumie!

Odtąd miał Cześ od pana Wróblewskiego spokój. I zapisał się do skautów.

POGOTOWIE RATUNKOWE

„Difficile est satiram non scribere“.

Cała ta smutna historja działa się niedawno temu, przed sanacją skarbową, w lecie.

Bielski wyruszył do Zakopanego nie dla kuracji, ani dla odpoczynku. Ruszył z musu, kochał się bowiem w pannie Jadzi, zwanej pospolicie: Lita. (Dlaczego Lita? No, bo Jadwiga jest wulgarne.) Ujrzał ją kiedyś na dancingu w Bristolu, w sali Malinowej, i rozgorzał. Jakże tu nie rozgorzeć? Była naga do pasa i pełna niezrównanej dystynkcji. A Bielski miał lat 28 i jako inżynier-chemik od roku siedział stale w Hrubieszowskiem, w cukrowni, gdzie kobiet ani poświecić. Też stało się. Przedstawił się papie i mamie i zaczął bywać w domu.

Dom był wspaniały, z pokojówką w białym fartuszku. Papa bowiem zarządzał jakiemś nowem towarzystwem akcyjnem i miał automobil. Więcej zresztą nie miał nic, ale i nie twierdził, że ma. Przeciwnie. Podczas uroczystych oświadczyn Bielskiego dyrektor ani się zająknął o posagu. Bielski nie wziął mu tego za złe, ale i sam zkolei przemilczał skromnie, że poza stanowiskiem chemika posiada po ojcu prawie połowę portfelu cukrowni, w której pracuje. Chciał, żeby panna Lita (Jadwiga) wyszła za niego z miłości.

To też oświadczyny zostały przyjęte niepewnie. W zasadzie owszem, ale Lita jest jeszcze tak młoda... (23 lata, w tem 18 dziewictwa). Zresztą zdecydowała ona sama.

— Czuję do pana coś — rzekła do Bielskiego — ale musi pan być u nas w Zakopanem. Poznamy się tam bliżej...

Zakopane, to Zakopane! Wziął urlop, pieniądze — i jest.

Odrazu na stacji przykro uderzyła go nieobecność panny Lity mimo depeszy.

Ano trudno. Wynajął poczciwego górala i ruszył do willi „Pod poziomką".

Czasu powolnej podróży uwagę jego pochłonęła całkowicie architektura miejscowa. (Był w Zakopanem po raz pierwszy.) Czegoś podobnego nie widział nigdzie — oczy wprost wychodziły mu z głowy. Wtoczywszy się na Krupówki, oniemiał z admiracji. Owe chatki góralskie, mile tulące się boczkiem do piętrowych hoteli, niby dziatki do bogatego ojca! Te sklepy z cukierkami, naftą i wykwintnym towarem! Co za bogactwo, co za kultura! Gdzie okiem sięgnąć — szynk, bank i księgarnia, księgarnia, szynk i bank! Podziwiał to wszystko w milczącem skupieniu.

Pod Karpowiczem suchotnicza szkapa poczciwego górala oświadczyła, że dalej nie ruszy. Mimo smagania po oczach, trwała uparcie przy swojem. Zwiesiła tylko łeb między nogi i zaproponowała, że zaraz skona.

Góral podrapał się w łepek.

— Cholera! Kuń je dobry — mówił — ino my zawsze tu stajem. Gorzołkę tu majom fajną pan Karpowicz.

Cóż? Wypadło dać na wódkę i dźwigać walizkę samemu szmat drogi.

Dobrnął przecież. Willa „Pod poziomką“ była to dwupiętrowa stodoła drewniana w stylu murowanych kamienic wielkomiejskich. Poziomek nigdzie wpobliżu nie było, nad drzwiami zato widniał rzeźbiony oset zakopiański w stylizacji miejscowego organisty.

Powitała go we drzwiach sama właścicielka pensjonatu, osoba sroga i grubawa. Nieufne jej oczka spoczęły najpierw na walizce dłuższą chwilę, poczem dopiero przeniosły się na właściciela. Pokój ma, a jakże. Trzymała go dla Bielskiego pustką dwa tygodnie. Byle tylko uregulował zgóry...

Bielski uregulowałby w tym momencie nawet niemieckie odszkodowania, tak śpieszno mu było do Lity.

Cóż, skoro, gdy po umyciu zbiegł raczej, niż zeszedł do saloniku, powitał go

obojętny chłodek. Panna Lita uśmiechnęła się tylko z triumfem:

— A, więc przyjechał pan jednak...

I zaraz rozmawiała dalej gorąco z jakimś starszym młodzieńcem typu wschodniego, choć niekoniecznie Ormianinem.

Mama była lodowata.

Zajął się Bielskim właściwie sam papa. Pół godziny klepał go dobrodusznie po ramieniu, opowiadając o katastrofalnym dziś spadku marki polskiej. Bielski wpadł w łagodną melancholję.

— Któż to jest ten jegomość — spytał z nienawiścią — co tak asystuje pannie Licie?

Papa jął szeptać z szacunkiem:

— Ten gruby? Wygolony? Cichol... Amerykanin, panie, choć Polak. Bogacz. Dolary sieje, jak koprowinę. Same czeki. Nawet portjer dostał dziesiątkę.

Gdy przed obiadem zbliżył się Bielski z uśmiechem ku stolikowi panny Lity, rozumiejąc, że czwarte nakrycie dla niego, spotkał go nowy zawód.

Panna roześmiała się prześlicznie.

— Spóźnił się pan, panie marudo. Miejsce zajęte... do jutra. Każę dać większy stolik.

Bielski zbladł i cofnął się bez słowa do stołu ogólnego. Przedstawił się obu sąsiadom, którzy mruknęli coś niechętnie, bo i tak było ciasno. Bielski zerkał tymczasem, dla kogo czwarte nakrycie. W pewnej chwili zgrzytnął zębami z wściekłości. Dla Amerykanina. Oczywiście.

Przy zupie rozmyślał gorzko, czy nie wyjechać wieczorem i czy aby nie zrobił głupstwa, przemilczawszy o swoich akcjach. Postanowił nie spojrzeć ani razu ku stolikowi Lity. Stolik ten nie zwracał nań zresztą również żadnej uwagi.

Naokół niego zawrzał tymczasem gwar statecznych zresztą rozmów. Uderzyło go w tym hałasie ustawiczne powtarzanie się wyrazu „dyrektor“. Co moment wzywano jakiegoś „pana dyrektora“, kazano „dyrektorowi kochanemu“ coś kosztować, umawiano się z „dyrektorem“ na spacer. Stefan zro-

zumiał z przerażeniem, że wszyscy obecni panowie są dyrektorami. Nie. Naliczył ich tylko dwunastu. Poza tem dwóch prezesów i jednego nadradcę. Czemże jest reszta, u Boga Ojca?

Odpowiedź przyszła na zawołanie. Jeden z sąsiadów, młodzieniec lat czternastu, zagadnął go nagle obcesem:

— Panie, czy pan ma majątek ziemski?

— Nie.

— To może ojciec pański ma majątek?

— Nie.

— To dziwne. Papuś ma czterdzieści włók w Krakowskiem.

Poczem młodzian zakomunikował mu niezwłocznie, iż matka jego jest ze Skanderbergów, więc jest spokrewniony z królem włoskim.

Bielski zwiesił głowę. Zrozumiał. Sami dyrektorowie, prezesi, reszta ziemiaństwo. Czemże wobec tego świetnego towarzystwa jest chemik z cukrowni? Zerem? Gorzej, niż zerem. Idjotą. „Trzeba było wspomnieć o akcjach“ myślał.

Po obiedzie się przespał, a potem wyszedł na miasto. Na złość pannie Licie. Choć deszcz lał jak z cebra, jak to w Zakopanem.

Zaraz po stu krokach spotkał przykrępą postać w potwornych buciorach i odzieży nieczułej na elegancję i wpływy atmosferyczne. Głowę miała wciśniętą w kaptur, a zarost nieogolony od tygodnia.

Postać na widok Bielskiego rozwarła ramiona jak drogowskaz. Koleżka z frontu jeszcze, dziś też w rezerwie.

— Wacek, jak się masz, chłopie — ucieszył się Bielski.

— W formie — odparł sportsman krótko. — Latem wspinaczka, zimą narty. Odpoczywam po wojnie. A ty jak?

— Ja? Żenić się przyjechałem.

Kolega Wacek spojrzał nań z osłupieniem.

— Żenić się? W Zakopanem? Julek, czyś zwarjował? Toć tu właśnie ludzie żony spławiają, a nie żenią się. Wysyła mąż ba-

bę na zimowy sezon — i po krzyku. Rozwód murowany!

Bielski spojrzał nań z niesmakiem.

— A ja się żenię. Z panną zresztą, nie z mężatką... Ale tu, widzę, u was dużo budują — dodał, wskazując na tuzin rozpoczętych w ulicy gmachów. Chciał zmienić temat rozmowy.

Kolega spostrzegł wreszcie swój nietakt.

— Ano budują, budują — mówił szybko. — Warunki miejscowe. Trzecia część stałej ludności Zakopanego buduje dla reszty, która znowu handluje między sobą temi objektami, jak rok długi. Z tego się żyje przeważnie.

Tak rozmawiając, weszli na werandę kawiarni, która nadawałaby się raczej na skład trumien. Jeden z kątów opanowało tu towarzystwo sportowe. Wszyscy ci panowie odziani byli w sposób indywidualny, jakby na stwierdzenie maksymy, że nie ubranie zdobi człowieka. Szczególniej jeden z nich zastanowił wprost Bielskiego

odwagą cywilną. Miał na sobie zielony sweater i długie, granatowe, norweskie spodnie narciarskie (w lecie!). Kudłów nie czesał, widać, nigdy, ale przystojną twarz ogolił niedawno, bo prawy policzek pokryty miał pudrem, jak mąką. Nie raziło to zresztą nikogo. Młodzieniec wyglądał, jakby uciekł z „pod Telegrafu", tymczasem, jak się okazało, był również dyrektorem.

Sportsmani ci odznaczali się zresztą zdrowiem, beztroskliwą wesołością i szczerą pogardą dla intelektu. Po godzinie Bielskiemu uszy popuchły od „żlebów", „kominów" i „wierchów". Osowiał nawet od zbytku fachowości. To też, gdy gruchnął potworny „jazz-band", ruszył na główną salę z ulgą.

Panował tu zaduch i ścisk niesłychany. Śród stolików, stawianych prawie jeden na drugim, zostawiono przecież trochę wolnej podłogi, gdzie z pianą na ustach kręciło się w szale kilka par. „Oj, Józiu! Oj, Józiu!" — wzywały kogoś skrzypce z orkiestry. Tęgi murzyn, roześmiany od

ucha do ucha, czarny jak heban, z gębą jak młody goryl, dowodził tą orgją. Wszystkie córeczki od stolików patrzały tęsknie na tancerzy, mamy — na murzyna. Napięcie erotyczne sali było — jak na upał i wczesną godzinę — nieznośne. I naraz, gdy, zdawało się, coś wreszcie naprawdę dziać się zacznie, murzyn uciął taniec smyczkiem jak szablą. Panie westchnęły. Rozpoczęto produkcje poważne. Grano teraz na pile, na szczoteczce do zębów i na butelkach.

Bielski wrócił na kolację podniecony i nieswój. Widział jak panna Lita tańczyła w kawiarni z Amerykaninem w sposób, w jaki tylko on sam miałby z nią prawo tańczyć. Rozumie się — po ślubie. A tu znowu nikogo to nie zdziwiło. Papa pił najspokojniej porter, a mama zerkała ku orkiestrze. Bielski jadł kolację ze zgorzkniałym apetytem.

Wśród dyrektorów przy stole zapanował dziś również wyraźny niepokój, choć nie miłosny. Na czarnej giełdzie krakowskiej dolar skoczył dziś znowu o pięćdzie-

siąt procent. Miny były naogół posępne, rozważania opryskliwe i gwarne. Tylko dyrektorowie banków zachowali niewzruszony spokój i pogodę.

— Co jest? — wrzasnął któryś, wodząc po towarzystwie rybiemi oczyma. — Co jest, mówię? Wielkie rzeczy, że marka spada! Będzie nowa inflacja, nowe kredyty rządowe — ruch w interesie! Ja się cieszę. Byle ten kredyt złapać! Co mi tam!

Rozległ się na to hałas, jak na jarmarku. Od jakiegoś obywatelskiego stolika doszło nawet zdławione przekleństwo. Ale ogół pocieszył się wyraźnie, sąsiedzi wspólnie rozważali szanse owych tam kredytów. Ktoś kazał dać szampana „na ciężkie czasy".

Bielski nie brał udziału w tych rozważaniach. Był milczący i do głębi oburzony na pannę Litę i całe towarzystwo. Wzrok miał utkwiony beznadziejnie w opróżnionym talerzu. Gdy podniósł go na chwilę, spotkał się z oczyma pięknej brunetki, siedzącej samotnie przy oddzielnym stoliku.

Nachmurzył się srodze i znowu obejrzał talerz. Gdy raz jeszcze — tytułem próby — zerknął ku pięknej pani, patrzała nań całkiem otwarcie. Uśmiechnęła się nawet.

Manewrów tych nie dostrzegł nikt, prócz panny Lity. Wydęła usta pogardliwie. Zaraz też po kolacji zwróciła się do Bielskiego z czarującą dobrocią. Oceniał to jednak dość mrukowato. Zawiadomiła go że jutro „réunion" w pensjonacie. Nic. Że będzie bardzo miło. Nic. Że będą razem tańczyć. Znowu nic.

— A smoking pan ma? — dodała z niepokojem.

— Mam — rzekł ponuro i zaraz się pożegnał. — Do kroćset — pomyślał z gniewem. — O co z garderoby pytałaby mnie dalej?

Spał jednak jak zabity. Przeraził się rano, ujrzawszy przy swem łóżku samą właścicielkę pensjonatu. Już chciał się bronić, gdy uspokoiła go wiadomością, iż dolar skoczył w Krakowie o nowe sto procent. Prosi wobec tego o zapłacenie dwu

tygodni naprzód. Dlatego tak wcześnie, że do południa nie wiedzieć, co z dolarem będzie.

Dał, co miał, i po śniadaniu, choć lało jak z cebra, poszedł zaraz do banku. Przekazał był tam sobie telegraficznie małą walizkę marek, nie chcąc wozić brudnych papierzysków ze sobą.

W banczku panował ścisk i przygnębienie. Szeregi przemokniętych osób cichutko żebrały o własne pieniądze. W jednym rogu stawiano głośno zakłady na *ultimo*. Kasa wykupywała waluty obce od spędzonych z okolicy górali. Urzędnicy banczku, przejęci własnem znaczeniem, półgębkiem rzucali pełne wagi słowa.

Przekaz Bielskiego zwrócił wreszcie uwagę któregoś z tych mocarzy. Trzymał go chwilę w dłoni, skrzywił się i rzekł obojętnie:

— Dziesięć procent.

Bielski nie zrozumiał.

— Co za dziesięć procent?...

— No, dziś może pan podnieść dziesięć procent sumy. jutro dalsze dziesięć, i tak aż do wyczerpania.

— Panie, ależ to przekaz.

— Widzę. Tylko, że nie mamy pieniędzy. Patrz pan, co się dzieje przy kasie. Kupujemy dolary. Nie mamy czasu na głupstwa! Marka jedzie na łeb!

— Panie! Ależ to kryminał! Ja wpłaciłem gotówką!

— Nie nam, tylko w Lublinie. I nie kryminał wcale, tylko sprawa cywilna. Proces potrwa ze dwa lata i wtedy wypłacimy panu odrazu.

Raz jeszcze obejrzał dokument i dodał łaskawie:

— No, damy panu dwadzieścia procent dziennie, że to telegraficzny przekaz. Dobrze?...

Pisząc już czek do kasy, wzruszył jeszcze ramionami dobrotliwie:

— Bo i kto teraz taką walutę nosi? Żeby tak dolary...

Bielski wyszedł ukorzony przed potęgą bankowości. Pocieszał się, że ma ze sobą i dolarów trochę. Zresztą, bierz djabli pieniądze!...

Pieniądze wzięli coprawda nie djabli, tylko ojciec panny Lity, i to natychmiast. Dyrektor czatował nań, widać, na Krupówkach, bo zaraz przy wyjściu z banku — jest. Skarżył się gorzko na stosunki finansowe kraju i zabrał całe dwadzieścia procent.

Klepał zato chłopca po ramieniu bardzo serdecznie.

Ani panna Lita, ani mama nie wiedziały, widać, nic o tej tranzakcji, bo stosunek ich do Bielskiego był jeszcze chłodniejszy, niż wczoraj. Dopuszczono go coprawda do stolika, ale wspólnie z Amerykaninem, przyczem konwersowano tylko z ostatnim (dolar ciągle szedł wgórę). Aż Amerykanina to żenowało. Próbował gadać coś do Bielskiego, ale tu natknął się na murek. Bielski udawał głuchego. Obiadowano, jak po pogrzebie.

Tymczasem w powietrzu wisiał „réunion“. Zaraz od południa, mimo ulewnego deszczu, przemoczeni do szpiku chłopcy sklepowi jęli znosić całe kosze prowjantów. Zadziwiała ilość alkoholu. Bielski myślał, że to do bufetu; ale nie, do prywatnych pokojów. Była w tem pewna gradacja: obywatelstwo sprowadzało węgrzyna, zwykli dyrektorowie — likiery, dyrektorowie banków i Amerykanin — szampana. Coprawda jeden jedyny Amerykanin — francuskiego.

Od południa też panie znikły z widowni. Kąpały się, czesały i goliły do późnego wieczora. Pokojówki mdlały z wyczerpania. Panowie zgrywali się w karty w saloniku z zaciętością.

O północy jęli się schodzić goście z miasta, o pierwszej przywędrowała muzyka. Wówczas dopiero spłynęły i miejscowe panie. Wszystkie były rozebrane, wygolone i piękne na podziw. Sala podzieliła się odrazu na dwie wrogie partje: pensjonatu i miasta. Damy przyglądały się sobie krytycznie a z nienawiścią; panowie — jakby

się zaraz mieli pojedynkować. Tańczono sztywno, niby z łaski. Jedna tylko para wyginała się we wszystkich zawiasach z niesłychanym wdziękiem i bez końca; prowadzący młodzian miał minę, jakby przed chwilą lizał słodką śmietanę. Bielski przyjrzał mu się z podziwem: tak dokładnej inkarnacji tapira nie widział nigdy.

Zaraz po pierwszym shimmy ruszono do bufetu. Tu dopiero, po pierwszych wódkach, partje jęły przenikać się nawzajem. Inicjatywa wyszła ze strony pań. Łączono się w mniejsze grupki, związane doborem płciowym. Dyrektorowie sadzili się na flirty z pod Grójca i Tarnopola. Po powrocie do sali tanecznej tangowano znacznie wyraziściej.

Bielski zwątpił ostatecznie o pannie Licie. Z nim, właśnie z nim, tańczyła na taki dystans, jakby miała kolana ze szkła. Zdawało mu się też, że wśród tour'ów zamieniała porozumiewawcze uśmiechy z Amerykaninem. To też Bielski nie tańczył już więcej. Przysiągł sobie, że jutro wyjedzie

na pewno. Oddał się całkowicie posępnej kontemplacji tego, co się wokół działo.

Po kilku bowiem tańcach sala zaczęła się pomału wypróżniać. Co chwila jakiś dyrektor mrugał dyskretnie na swoje kółko, które wynosiło się dla niepoznaki różnemi drzwiami na palcach. Ilość tańczących topniała stopniowo a szybko, jak śnieg na halnym wietrze. W pewnej chwili została tylko jedna para, rozumie się, tapirowata. W braku widzów i ta wyniosła się gdzieś wkrótce. Bielski został sam z orkiestrą. Wspaniały murzyn, ten sam co w kawiarni, łypnął ku niemu białkami oczu i teraz dopiero grzmiał całą parą. Grali, jak na ostatecznym sądzie.

I słusznie. Okazało się bowiem, że cały pensjonat tańczył dalej, tylko w pokojach i na półciemnych korytarzach. Tańczono przy węgrzynie, tańczono przy likierach, tańczono przy szampańskiem. Tańczono przy drzwiach otwartych i zamkniętych. Tańczono na schodach i w bufecie. Nawet na drugiem piętrze czternastoletni kuzyn króla włoskiego uczył tańczyć shimmy po-

kojówki. Tańczył nawet portjer i otyła gospodyni.

Wracając z tej inspekcji, w jakimś ciemnym kurytarzu natknął się Bielski na piękną brunetkę. Ogromnie się przestraszyła.

— Ach, to pan?!

— Tak, to ja.

Zaraz też Bielski poszedł do jej pokoju. I tu były likiery. Bawił tam do szóstej rano.

Trudność była z wyjściem. Z korytarza dochodziły ciągle śmieszki, szepty i ciche stąpania. Wdziawszy smoking, Bielski czekał dość długo pode drzwiami. Otworzył je wreszcie. Nikogo. Ruszył do siebie szybko i ostrożnie. Brał już za klamkę, gdy pokój jakiejś starszej pani naprzeciwko otworzył się bez wielkiej dyskrecji. Wyszedł zeń murzyn z orkiestry. Na widok Bielskiego wyszczerzył wszystkie swe białe zęby.

Nazajutrz Bielski obudził się koło południa. Świeciło słońce. Chwilę leżał jeszcze z papierosem w ustach, rozmyśliwa-

jąc o zdarzeniach ostatniej nocy. Miłość do Lity jakoś go odeszła. Aż się sam dziwił. Nie czuł już do niej żalu, natomiast do brunetki dość żwawą wdzięczność. Sądził, że dobrzeby ją było sprowadzić do Lublina, choćby i na miesiąc.

Poszedł do banku po swoje dwadzieścia procent i znowu natknął się na dyrektora. Dyrektor był skromny i zabrał dziś tylko połowę gotówki. Mama natomiast zachowywała niesłychaną godność. Oświadczyła z obrazą w głosie, że Lita poszła z Amerykaninem przez Zawrat do Morskiego Oka. Może wlezą nawet i na Orlą Perć, bo to dziś modne.

Bielski nie dał nato znaku życia. Bo i co go to obchodzi? Poszli, to poszli. Sam poszedł również z piękna brunetką do „parku“ na Antałówce, myśląc słusznie, że będą tam sami.

Jak się rzekło, w południe świeciło słońce. Aliści już o trzeciej jęły się gromadzić chmury, o piątej lunął deszcz, a o szóstej stało się ciemno, jak w nocy, i wody

spłynęły na ziemię, jak za potopu. Złośliwe nieba czekały dziś z pluchą, aż wycieczkowicze ruszą w góry. Była to zasadzka przyrody na taterników.

W pensjonacie zapanował gwałt. W góry bowiem wyszły wszystkie dzieci, panny i całe młodsze pokolenie dyrektorów. Przy kolacji działy się rozdzierające sceny. Płakano bębnów, mężów i kochanków. Mama Lity dostała ataku ostrego szału. Gdy mąż dowiedział się wreszcie przez telefon, iż w schronisku przy Morskiem Oku niema Amerykanina, ani Lity, kobieta ta wezwała niebo na świadki, że dyrektor jest niedołęgą od urodzenia, i że Lita nie jest wcale jego córką, tylko wspólnika. Poczem jęła skakać z gdakaniem koło Bielskiego, jak kwoka nad stawem. On musi poradzić, on musi ratować, bo kocha Litę, bo niepotrzebnie przyjechał. A Lita moknie teraz na Orlej Perci, tylko na Orlej Perci, koniecznie na Orlej Perci...

Nie było rady. Bielski wziął płaszcz gumowy i śród profuzji wód poszedł do

kawiarni, szukać kolegi sportsmana. Jakoż znalazł go istotnie w licznej kompanji. Zebrały się tam same matadory Tatr, cepry i górale. Pióro ludzkie jest za słabe do opisu ich min i wyglądu. Chyba, żeby tak Homer... On jeden tylko, co Achillesa uwiecznił i Odyssa, uwieczniłby może i dyrektora w narciarskich latem spodniach, i męża w monoklu, zwanego „wujkiem", coś pośredniego między baronem a troglodytą, i znanego malarza à la Mochnacki w średnim wieku, i piegowatego mistrza czy podmistrza Tatr, i dwu braci bliźniaków o nogach tak długich, że, siadłszy na Giewoncie, spuszczali je na Regle, i wielu, wielu innych, a zawsze zacnych chłopców. Było całe tatrzańskie pogotowie ratunkowe. Otoczone wieńcem zrozpaczonych ojców i spłakanych mam, siedziało sobie godnie, poredzając między sobą powoli, kany i który ma iść i kogóż szukać. Surowe ich oblicza nosiły ślady humanitarnej troski i wypitego przed chwilą wiśniaku.

Ulegając ubolewaniom Bielskiego, kolega Wacek zgodził się szukać Lity, mimo zasadniczego wstrętu do małżeństwa. Wezmą ze sobą „wujka“ i górala. Wymarsz o czwartej rano. Niech się tylko Bielski nie spóźni.

Żeby się czasem nie spóźnić, Bielski nie zmrużył oka tej nocy. Spędził ją u pięknej brunetki.

Punkt o czwartej rozległy się „Pod poziomką“ ciężkie stąpania i gwizdy. Lało jak z cebra. Gdy Bielski wyszedł na ulicę w lekkich kamaszkach i palcie gumowem, kolega wzruszył nań z gniewem ramionami, nie witając się wcale.

— Warjat! Jak mi Bóg miły, warjat! — mruczał ze zgrozą.

Zaraz też, wziąwszy go do siebie do domu, rzucił mu tam z pogardą sweater i podkute buty.

— Kładź to! — zarządził krótko.

Potem dopiero ruszyli — i poszli. Szli, i szli, i szli. To jedno wrażenie zostało później Bielskiemu z owej wyprawy. Szli i szli.

Bez końca i wyraźnego, zdawało się, celu. Szli pod górę i z góry, na górę, w górę i poprzez góry. Było to straszliwe. Już o dziesiątej Bielski przestał mówić, w południe — myśleć. A teraz dopiero zaczęło się nadobre. Kazano mu właził na gołe ściany, rozpychać się w kominach, czołgać na brzuchu po graniach, spuszczać się na linie... Ogłupiał zupełnie. Kazano leźć — lazł, kazano hukać — hukał... Panny Lity i Amerykanina nie uratowano, oczywiście. Znaleziono natomiast dwie pary narzeczonych, mamkę ze Złoczowa z niemowlęciem na ręku i kości jakiegoś warjata, co spadł dwadzieścia lat temu. Bielskiego nie zainteresowało to wcale. O godzinie szóstej zapowiedział ze łzami w oczach, iż kroku dalej nie stąpi: woli sam skoczyć w przepaść, żeby jego szukali, zamiast samemu szukać. Nogi miał pokrwawione, ubranie w strzępach, w oczach obłęd. Taternicy patrzyli nań z pogardą, ale nie rzekli nic. Wracali sporą gromadką. Deszcz lał jak z cebra.

W pensjonacie Bielski zjadł kolację u siebie i zaraz zległ na łożu w butach. Drzwi zamknął na klucz. Nie wpuścił ani dyrektora, ani mamy, nie odezwał się nawet przez drzwi do brunetki. Spał. Koło północy słyszał, jak dobijała się doń policja. Nie wpuścił i policji.

Rano, o dziewiątej, kończył się właśnie ubierać, gdy pode drzwiami rozległ się gromki głos kolegi Wacka. Wpuścił go zaraz.

Kolega Wacek miał minę pełną ironji i tajemniczość w sposobie bycia.

— Chodź — mówił — znaleźli twoją Litę.

— Bój się Boga! Gdzie? W nocyście szukali?

— Nie my, tylko policja. Zobaczysz zresztą. Chodź.

Przed domem czekał już powozik. Wsiedli.

— Do Morskiego! — rzucił góralowi Wacek.

Na tę nazwę Bielski zzieleniał z przestrachu. Znowu do Morskiego Oka? Przez góry? Za nic! Chciał już wyskoczyć w biegu, ale kolega wstrzymał go za połę.

— Nie bój się! Do hotelu jedziemy, nie do stawu. Przez Krupówki, nie przez Zawrat. Zobaczysz.

Bielski nie rzekł już ani słowa. Przeczuwał jakąś niesamowitą historję.

Rzeczywiście, przed hotelem dojrzał policję i rozbawioną służbę ze wszystkich pięter. Na korytarzu, przed rozwartemi drzwiami jednego z pokojów, zgromadził się hałaśliwy i roześmiany tłumek. Jednem spojrzeniem poprzez stłoczone głowy Bielski dojrzał Litę i Amerykanina. Panna Lita popłakiwała zcicha pod oknem, odziana przeważnie w prześcieradło, Amerykanina pilnowało dwu policjantów w niezłych humorach. Bielski patrzał na to ze zgrozą.

Zato kolega Wacek triumfował:

— Nie będziesz się teraz żenił, co? Trzy dni tu siedzą, wcale w górach nie

byli. Wróciliby do pensjonatu, jakby nigdy nic, gdyby ten drab czeków nie fałszował. Policja dawno go miała na oku. Przed godziną właśnie nakryli.

Znalazł się i papa-dyrektor. Zobaczywszy Bielskiego, skoczył do niego, jak do zbawcy.

— Panie Juljanie! Takie nieszczęście! Jeszcze pieniędzy chcą ode mnie za wczorajsze szukanie. Nie mam pieniędzy! Kto dzisiaj ma pieniądze!

Wczorajszy góral z Pogotowia odezwał się sentencjonalnie:

— Nie macie dudków, nie chodźcie do Morskiego. W domu najtaniej.

Roześmiali się wszyscy. Bielski splunął i ruszył do banku.

Tam najnieoczekiwaniej wypłacono mu całą resztę przekazu. Obliczył — mało tego było na wszystkie wydatki. Z bólem serca wyciągnął dolary.

Urzędnik przyjrzał mu się z uciechą.

— Dolary? — rzekł sucho. — Nie kupujemy.

— Jakto? Dolary przecie!

— Widzę, że dolary. Tylko nie kupujemy. Marka dziś poszła wgórę. Dlatego wypłaciliśmy przekaz.

Nie chciał nawet gadać. Dopiero w najmniejszym banku nabyto je z łaski za pół ceny.

W pensjonacie zastał gwałt i łzy. Pakując się, słyszał płacz srogiej właścicielki. Pokojówki płakały wielkim głosem. Płakał i portjer, wynosząc rzeczy do fjakra. Wszyscy mieli czeki amerykańskie.

Ruszywszy z Zakopanego, Bielski odetchnął z ulgą. Za Krakowem uśmiechał się nawet z cichej radości. Usnął, jak dziecko po chorobie. Śniło mu się, iż z samym Panem Bogiem spaceruje po niebie, gdzie na łąkach rajskich grają w bridge'a dyrektorowie całego świata przy dźwiękach cyter anielskich. Pan wskazał mu na nich ręką i pytał dobrotliwie:

— Którym z nich chciałbyś być tam, na ziemi?

Bielski odrzekł bez wahania:

— Dyrektorem banku w Zakopanem, mocny Boże!

SPIS RZECZY.

WYDAWNICTWA GEBETHNERA I WOLFFA

WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ — PARYŻ
POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

	Zł. gr.
Brudzewski T. Dzwon na trwogę. Powieść . . .	4.80
— Zatrute źródło. Powieść	3.50
Choynowski P. Dom w śródmieściu. Powieść. .	5.—
— Kuźnia. Pow. hist. z lat 1861—1863. Wyd. 2 .	5.—
— Młodość, miłość, awantura. Powieść. Wyd. 2	6.—
Czekalski E. Milczące młyny. Nowele . . .	5 —
— Najukochańsze miasto. Nowele	3.—
— Proste drogi. Powieść	3.50
Gardecki J. Było nas trzech. Powieść bez romansu .	6.—
Goetel F. Humoreski. Wydanie 2	5.—
— Kar-Chat. Pow. Wyd. 2	4.—
— Ludzkość. Schmerzenreich. Dwa opowiadania	3.50
— Pątnik Karapeta. Kos na Pamirze. Komisja. Samson i Dalila. Nowele	3 40
— Przez płonący Wschód. Z 80 ilustr. Wyd. 2 .	10.—
— Z dnia na dzień. Powieść. Wyd. 2 . .	5.50
Grubiński W. Człowiek z klarnetem. Nowele . .	5.50
Hajota. Z dalekich lądów. Nowele i opowiadania .	6.50
Jankowski J. Historje niezwykłe. Nowele . .	5.—
Kisielewski Z. Amerykanka. Powieść	5 —
— Poranek. Powieść .	4.50
Kleszczyński Z. Białe noce. Powieść	4.50
— Romans na wsi. Pow.	3.50
— Siostry Cleo. Nowele .	4.50
Kossowski J. Zielona Kadra. Nowele . . .	6.—
Krzywoszewski S. Z przeżyć i wrażeń myśliwskich. Z 24 rys. K. Mackiewicza	20 —
Lange A. Nowy Tarzan. Opowiadania wesołe i niewesołe	4.50
Łada J. W zaklętem zameczysku. Powieść z lat dawnych. 2 tomy . .	12.—
Łubieński H. Zwycięzca. Powieść	5.50
Makuszyński K. Awantury arabskie. Wyd. 5 . .	5.—
Makuszyński K. O duchach, djabłach i kobietach. Wyd. nowe, zwiększone.	3 —
— Ponure igraszki. Wyd. 2.	5.—
— Wycinanki. Wyd. 3 .	5.—
Malczewski R. Narkotyk gór. Nowele	5.—
Nałkowska R. Z. Choucas. Powieść internacjonalna .	4.50
— Romans Teresy Hennert. Wyd. 2 . . .	5.—
Nałkowska Z. i Wielopolska M. J. Księga o przyjaciołach	4.50
Ostrowski J. Chorągiew na dachu. Powieść . .	6.50
— Obok życia. Powieść .	3.75
— Sztandar na maszcie. Powieść	5.50
Perzyński Wł. Dwoje ludzi. Powieść . . .	7.—
— Lekarz miłości. Komedja w 3 aktach . . .	4.—
— Nie było nas, był las. Powieść. Wyd. 2 .	6.—
— Raz w życiu. Powieść. Wyd. 2	6.—
— Uśmiech losu. Komedja w 4 aktach . . .	3.50
— Znamię. Nowele . .	5 —
Przybyszewski S. Mściciel. Dramat w 3 aktach .	2.80
Rabska Z. Orzech markizy. Nowele	6.—
Rembek St. Nagan. Powieść	6.—
Rogala J. Płomień. Powieść	6.—
— Zarzewie. Powieść. Wyd 2	5.50
Rychliński B. Mah-Jong. Cykl nowel	4.—
Siedlecki-Grzymała A. Samosęki. Powieść. Wyd. 2.	6.—
Szpotański St. Przysięga. Pow.	4.80
— Skradziony rękopis. Powieść	5.—
— Synowie klęski. Pow. histor.	7.—
Weyssenhoff J. Nowele .	3.—
— O sztuce pisarskiej Pawła Cazin z dodaniem czterech jego nowel. Z 5 ilustracjami. .	5.—
— Soból i panna. Powieść. 43—46 tysiące . .	6.50
Wierzbiński M. Wielka gra.	6.—
Wiktor S. Srogi pies i sentymentalny zając . .	4.50

Przez pamięć   Rabowanie [illegible] (1762; w kolejności)

(11 dystansowany – przez widzenie, w imię własnej szlachetności – jego wdziękiem

(przez styl

(21 jadący z zakrwawioną szablą i drugą ręką na Ewangelii

(23 niebieskawa refleksja nastroju

(24 brat – i zbrodnia

(32 święte jedynie – szczęście, zgodny przed gniewem

(33 kolejne śmierci [illegible] braci

(37 panna wydana za mąż –

(39 pokuta – habit

Ojcowie króla Sieyes i głodni zbuntowani

i [illegible] w postaci.

(45

(48 ingerencja odautorska narratora

(51 Nawiązania – Zeitgeist

(52 milczenie

(53 krew = życie (Cambacérès)

(56 co osiągnęła rewolucja (La Revellière-Lépeaux)

(59 korupcja rządu (komisji, komitetu Ocalenia Publ.)

(73 Bonaparte; za nim Sieyès

[illegible]

(80 dystansowanie – przez autoportret postaci

(84 wzm. dot.: za Sasa (syna Aug. Mocnego)

(87 sprawa Zbyszewskich

(89 okrucieństwo – ale nowoczesnym (Koranek)

(95 nagła zmiana [illegible] – co do Zbysz.

(98 i zmiana humoru wobec Koziełka

(104 scena o domu Zbyszewskich, naprawianie krzywdy z wielkim gestem

(106 i odgrywanie się – wobec Pana Papa

Pańskie Ty   / por. [illegible]: Spotkanie w Saint-Germain-des-Prés (1956)

(135 [illegible] pożegnań

(148-152 Król i szlachcic

(156 pytanie Króla
Ty
Król o Polakach